№ 33. Warszawa, dnia 11 (23) Kwietnia 1872 roku. Tom I. — Rok I

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7...
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32).

Dzień się wybrał śliczny, jakby na szczęście państwu młodym... Już od rana ciągnęła szlachta bez przestanku... Dawszy słowo, za które Wojski Cewka sam przyjechał Elżusi podziękować, jejmość musiała się wybrać, rada nie rada. Kurdybanowe buty stryja Eligiego przydały się tu, gdyż kazano mu towarzyszyć. Taki był natłok po pokojach, gwar i ścisk, że wielu o sobie nie wiedziało i spotkać się nawet nie mogło. Część gości wyniosła się na ganek, inni obozowali przy stołach w dziedzińcu, reszta w ogrodzie... Ślub musiał być z powodu oddalonego kościoła w domowéj kapliczce przystrojonéj umyślnie do tego obrzędu. Odedworu do niéj drogę dla państwa młodych pąsowém suknem wysłano... Nie obeszło się bez mów solennych i odpowiedzi, co ceremonię niezmiernie przedłużyło.

Przed nią jeszcze zawczasu przybyła pani Piętkowa ze stryjem Eligim, choć nie zbyt wykwintnie ubrana, lecz tak piękna, że się tłumy ciągnęły, ażeby jéj pańską twarz zobaczyć. Los też jéj i znane przygody, wielkie budziły zajęcie. Wedle zakreślonego programu odbywało się wszystko z kolei bardzo szczęśliwie, i Elżusia w orszaku panny Ignasi postępowała ku domowi z kaplicy gdy idąc drogą około któréj szpalerem stali mężczyźni, radzi się kobietom przypatrzyć, postrzegła niedaleko... w pięknym mundurze kawaleryi wspartego na szabli, pod drzewami Zygmunta którego oczy skierowane ku niéj były... Mimowoli zarumieniła się piękna pani; niewiedziała ona że go tu spotkać może, nie śmiała myśli téj nawet poddawać stryjowi, aby próżnéj nie budzić obawy, była jednak niemal pewna iż się Piętka jakimś sposobem na drodze jéj znajdzie. Spuściła zaraz oczy, podniosła je wnet, żeby nie myślano, iż się strwożyła, i poszła daléj. Zygmunt pozostał w miejscu z kilku znajomymi.

— Co mi to szkodzi, że on tu jest? powiedziała sobie w duchu... Nie może się zbliżyć do mnie, a po obiedzie ja natychmiast wyjadę.

Nie wiedziała szanowna pani, iż woźnica jéj już był upojony tak, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł, a u kolebki koła brakło, które na lamus zaniesiono i na klucz zamknięto.

Mioduszewski przytém jako krewny i na wpół gospodarz, nie mogąc inaczéj zbliżyć z razu małżeństwa, wyprosił po cichu u tych, co przy stole rozsadzali, aby Piętkę naprzeciw żony usadowiono. Urządzono to tak doskonale, iż jejmość postrzegła się dopiero gdy już miejsce zajęła. Uchodzić nie było sposobu, postanowiła tylko oczy odwracać. Zygmunt nie był też winien niespodziance, która dlań wielce stała się przyjemną. Mógł bez przeszkody przypatrzyć się Elżusi! a tak jéj dawno z bliska nie oglądał! Obok pani Zygmuntowéj siedział z jednéj strony stryj Eligi, z drugiéj w spisku będąca krewna Mioduszewskiego, pani Bartochowska. Mioduszewski sam siadł przy Zygmuncie, a Borodziczowi dał znak, aby miejsce zajął z drugiéj strony. Rachowali na to, że nie może nie mówić z nimi, gdy ją będą zapytywali... a mówiąc niepodobna, by choć nie spojrzała na

PRZEDSTAWIENIE ŻYWYCH OBRAZÓW W TEATRZE WIELKIM.



Widziadła Nr. 1. Marzyciel.

Piętkę... Pani Bartochowska miała go zagadywać i w rozmowę wciągnąć.

Z początku muzyka grała, i hałas był taki, że o rozmowie, mimo bardzo wązkiego stołu, myśleć nie było można. Elżusia zobaczyła męża, przy nim Mioduszewskiego i Borodzicza,—domyśliła się od razu, iż nie przypadek to zrządził. Odwróciła tedy oczy i postanowiła manewrować niemi tak, aby na przekór napastnikom wzroku Piętki nie spostrzedz i nie widzieć go w ciągu całego obiadu. Była to jednak rzecz łatwiejsza do postanowienia niż do wykonania. Gniewała się mocno Elżusia, zarumieniła, oczy w górę podniosła, minkę zrobiła dumną i nieprzystępną. Mioduszewski poznał zaraz, że źle się święci. Stryj Eligi struchlał, zaczął gałki z chleba kręcić nieprzytomny i ku synowicy spoglądał, jakby ją do odwrotu namawiał. Gdy goście posiadali a muzyka ucichła nieco, rozmowę powoli rozpoczącz było można, i szmer cichy napełnił izbę jadalną. Pani Bartochowska pierwsza zagadnęła Piętkę śmiało: — czy też wiele osób znajomych znalazł i jak mu się ich proste szlacheckie wesele podobało?

— Ja też do innego życia nie nawykłem, rzekł Zygmunt; a choć wojskowe prowadzić muszę— tęsknię do dawnego.

— Trzeba do niego powrócić! śmiejąc się rzekła Bartochowska.

— O! gdyby można! zawołał Zygmunt: z duszy i serca .. ale nie ma do czego i do kogo.

Zygmuntowa nie słuchała, choć słyszała pewnie, spuszczoną miała głowę, podniosła ją niespodzianie i—o cudo!—stryj Eligi przeraził się bardziéj jeszcze:—prościuteńko na Zygmunta spojrzała oko w oko.

Co ją do tego skłoniło, że tak rychło postanowienie unikania wejrzenia i rozmowy zmieniła, jeden Pan Bóg mógł wiedzieć. Piętka zadrżał. W téj chwili na szyi żony zobaczył dopiero ów łańcuch z granatów, jakby—godło przebaczenia... Był to zapewne przypadek, iż go na ten dzień włożyła—dla niego wszakże miał on wielkie znaczenie—otucha wstąpiła w serce, oko mu się rozjaśniło.

— Ciężkie bo to życie wojskowe czasu pokoju, dodał Piętka. Co innego gdy wojna. Człowiek naówczas o wszystkiém zapomni, zapali się, zdziecieje... obchodzi go to jakby partya warcabów lub szachów... goni nieprzyjaciela, uchodzi, zabiega; każdy dzień mu coś nowego przynosi... nie ma czasu tęsknieć i nudzić się... Czasu pokoju na leżach, w obozie, po miasteczkach, gdy musztra skończona, hasła podawane, porozstawiane straże—co robić?

Pani Piętkowa zdawała się słuchać z zajęciem uśmiechnęła się jakoś, i—stryj Eligi o mało pod stół się nie skrył z aprehensyi,—odezwała się.

— Przecięż po takich miasteczkach gdzie kawalerya stoi, znajdzie się zawsze towarzystwo wesołe? jest sąsiedztwo... o zabawę nietrudno kto jéj szuka...

Piętka się nie spodziewał wcale głos ten słyszeć; z razu zamilkł zdziwiony niezmiernie, lecz taką go to napełniło radością, iż rychło przytomność odzyskał.

— Nie każdy zabawy szuka—rzekł cicho.— Młodzież chciwa jéj — zapewne, starszym ona nie w smak...

— A kto nawykł do niéj... spytała Elżusia.

— Ten się nią przesyci i odwyknie, gdy na samą zabawę czczą jest skazany, rzekł Piętka... Dobra ona jako przekąska, ale pokarmu nie zastąpi.

Przytomni równie byli tym początkiem rozmowy i zbliżenia zachwyceni jak Piętka, któremu twarz się w chwilę zmieniła i rozjaśniła. Mioduszewski patrzał znacząco na Borodzicza, ten na niego, Eligi zupę jadł choć jéj już dawno na talerzu nie było. Pani Bartochowska widząc że się jéj tak nad wszelkie spodziewanie udało; pospieszyła z dalszą zaczepką znowu do Piętki wystosowaną.

— Czy pański regiment stoi niedaleko? odezwała się obracając ku niemu.

— W Wielkiéj Polsce—rzekł Zygmunt —ale mnie choć z takiéj odległości tęsknota do stron rodzinnych przygnała. Walczyłem z nią lat trzy, a choć żołnierz dałem się jéj zwyciężyć... Wziąłem urlop, aby choć kilka dni tu przebyć i z zapasem świeżych wspomnień na dawne życie powrócić.

— Ja znowu powtarzam, dodała Bartochowska:—a po cóż powracać?

Elżusia podniosła oczy na niego... Piętka tak się w nie wpatrzył, iż Bartochowskiéj odpowiedzi nie dał, dopiero gdy jejmość oczy spuściła, spytał przepraszając o co go pytała...

Śmiać się poczęła pani Bartochowska, Elżusia oczy spuściła i zarumieniła się... Początek był nadzwyczaj szczęśliwy, poczciwy Mioduszewski rozochocony omal półmiska z bigosem nie wywrócił. Zaczęto się śmiać... i—pani Piętkowa rozśmiała się także—czego od dawna nie bywało.

— Obiad się przeciągnie, półgłosem rzekł Mioduszewski—a kto miał niegodny zamiar uciekania do domu po nim, będzie ukarany... bo noc ciemna, ludzie pijani pewniusieńko — i chyba pieszo.

— Pijesz pan coś do mnie pewno — odpowiedziała Elżusia z nienacka... ale my z temi drogami, choćby i po nocy, jesteśmy oswojeni, to nas nie straszy...

— Chyba konie same pójdą! rozśmiał się stary: bo o furmanie wątpię, by dziś kogo innego prócz Morfeusza woził...

— A cóż państwu z tego, gdyby się kto z nas nieużytecznych widzów pozostał?—dodała pani Piętkowa: tak z nami jak bez nas... Do tańca nie pójdziemy, a bez smutnéj twarzy, wesołym będzie lżéj.

— Dziś bo smutnéj twarzy tu nosić się nie godzi— przerwał Mioduszewski...

— Zkądże wziąć wesołą? odparła Elżusia...

W czasie téj rozmowy, która się tak jakoś wiązała szczęśliwie, Eligi zadumany opuścił sztukęmięsa, zaniedbał bigos, i wydawał się zupełnie bezprzytomnym. Po ostatnich słowach Elżusia zwróciła nań uwagę.

— Czemu stryj nie je? spytała go.

— Zapomniałem! naiwnie rzekł Eligi...

Borodzicz, koło którego półmisek właśnie przechodził, wziął talerz nieszczęśliwego i nałożył mu sporo bigosu około którego wprawdzie na pozór krzątać się począł stary, ale co chwila zapominał się i na Zygmunta to na jejmość spoglądał.

— Patrzą na siebie jakby nigdy nic! mówił w duchu. Elżusia się śmieje! temu się oczy iskrzą! Co to jest?

W istocie nie było nic, tylko pani Zygmuntowa znajdowała nieprzyzwoitém milczeć i kwaśną okazywać minę, choćby człowiekowi, z którym się rozstało, a Zygmunt nie pochlebiając sobie, ażeby to jakie następstwa mieć mogło, korzystał z pogodnéj chwili. Rozmowa stała się ogólniejszą, zagadywano i odpowiadano ze stron różnych.

— Prawdziwie to szczególny traf że nas tu tak dobrze około pani naszéj, królowo moja, posadzono! zawołał korzystając ze szmeru Mioduszewski.

— Szczerze, panie sąsiedzie—odezwała się na to Elżusia marszcząc brew i spoglądając nań ostro—czy to tylko traf? Czy nie było w tém jakiéj bardzo omylić mogącéj rachuby?

— A któżby, królowo moja — wdawał się tu dziś w rachunki! ramionami ruszywszy odparł stary; — jeden Pan Bóg tylko robi i odrabia co wola Jego—ludzie najczęściéj się mylą, i dla tego ich rachmistrzowstwa nic po tém! Ktoby tam rachował: Eluzsia niewidocznie pogroziła mu — Mioduszewski ogromną pięścią uderzył w piersi jakby chciał powiedzieć:—Przysięgam asindźce, żem temu nie winien.

Mimo groźby mógł wszakże uważać, iż tak bardzo się nie gniewała. Kiedy niekiedy spoglądała na Zygmunta, który ani zbytnią wesołością, ani wymuszonym smutkiem nie przesadzał. Siedział poważnie, a mówił swobodnie...

Jął go tedy umyślnie pytać ten zdrajca Mioduszewski o różne rzeczy, tak, aby odpowiedzi uszu jejmości dochodziły.

— I cóż pan, panie Zygmuncie, daléj myślisz? czy już tego regimentu dożywotnie się trzymać.

— Ja? ja bo nic nie myślę—rzekł Piętka: wpakowałem się w mundur, wpisałem w regestr, a teraz mną już losy kierują, i mam ten święty spokój, że o niczém nie myślę... Popychają mną— idę... aby daléj. Wojsko jak klasztor, człowiek wchodząc traci wolę, a czasem znużonemu lepiéj z tém gdy jéj nie ma... Idź tam, ruszaj tu— rób to... człowiek się czyni machiną i dobrze mu z tém...

— Aleś sam powiedział, żeś zatęsknił? spytał stary.

— To prawda, i w moim teraźniejszym stanie grzech... mówił Zygmunt. Człowiek wojskowy tęsknić nie powinien... nie chcieć...niczego nie pragnąć... aby daléj do końca... Życie idzie nudnie powoli niby, z tą jednostajnością jednak tak jakoś lata uchodzą, że się nie postrzega.

Elżusia choć mówiła niby z panią Bartochowską, słuchała jedném uchem.

— Przecież do obucha tak służyć, a w tym chomącie chodzić nie sposób—mówił ciągle Mioduszewski, — trzeba będzie kiedyś pomyśleć o czém inném?

— Do czego! rzekł Zygmunt—może też Pan Bóg da wojnę... a wówczas prędzéj się skończy to nudziarstwo...

— Jabym co innego życzył—przerwał sąsiad: jak tylko wam tęskno, to już dowód, że munduru macie dosyć—trzeba myśleć o zmianie. Weź wacpan gdzie koło nas dzierżawę.

Bartochowska wmięszała się w rozmowę...

— A tak! rzekła—mamy kilka wiosek w sąsiedztwie...

— Ze mnie to tam niewielki gospodarz—mówił Zygmunt — a przyznam się państwu, ani dla kogo, ani dla czego pracować nie mam—po co!

— Przecież, cicho wtrąciła Elżusia: praca to taka rzecz, co sama przez się życie słodzi... najlepsze lekarstwo.

— To prawda! odparł Zygmunt; ale i do niéj sił potrzeba, a człowiek jest czasem jak zegarek, w którym sprężyna pęknie i iść nie ma czém.

To mówiąc westchnął, i byłaby może rozmowa tak pięknie poczęta szczęśliwszy obrót wzięła, gdyby w téj chwili jak na złość, podniosłszy się ktoś z honoracyorów, nie okrzyknął wymownie zdrowia państwa młodych... Palnął tedy i moździerz pod oknem z hałasem takim, że jedna szyba przestraszona pękła, kilka pań krzyknęło, a cały stół jak zawtórował wiwatowi, jużby i trą-

by sądu ostatecznego słychać nie było, gdyby w téj chwili zagrzmiała.

Podnieśli się wszyscy... Mioduszewski okrutnie zły... Zdrowie państwa młodych! zdrowie!

(*d. c. n.*)

KRONIKA.

Powielkanocna kronika nie może się inaczéj zaczynać, jak od sakramentalnych słów: „minęły święta”.

Minęły więc święta, mające dla wielu śmiertelników znaczenie „święconego”: lecz nie minęły świąteczne hece, młyny dyabelskie, śmigusy, *prima aprilis*, Niemki i Niemcy o trzech głowach, małpy afrykańskie i europejskie i tym podobne osobliwości i widowiska, trwające w Warszawie od 31 Grudnia do 1 Stycznia wyłącznie i włącznie.

Kwesty na ubogich mniéj przyniosły w tym roku, niż w poprzednich. Tłómaczymy to ekonomiczną dojrzałością naszego społeczeństwa...

„Święcone” przypomniało nam Dra Franka czcigodnéj pamięci. Przytaczamy z dzieła Dra Homolickiego wymowny ustęp w tym względzie: „Naganiał też (Frank) właściwy naszemu tylko krajowi zwyczaj robienia na Wielkanoc, jakoby zasobów na długie oblężenie, — zbyt obfitego „święconego”, które, prócz uciążliwego dla mniéj dostatnich rodzin wydatku, po każdéj Wielkiejnocy sprowadza mnóztwo chorób gastrycznych, czasami bardzo niebezpiecznych. Treść do podobnych uwag w klinice podawały Frankowi niemal każde minione święta wielkanocne. Ale już za Stanisława Augusta zacny praktyk warszawski, Jan Dupont, słusznie powstawał na niewstrzemięźliwość Polaków w jedzeniu „święconego”, odwodząc od niéj wszystkich swych pacyentów, nawet już zdrowych, których w tym celu statecznie przed każdą Wielkąnocą obchodził z przestrogą i napomnieniem. Za mojéj pamięci zdarzyło się w Wilnie kilka przypadków, dobrze mi wiadomych, prawie nagłéj śmierci jedynie tylko od samego przesytu święconém. Epidemiczna zaś cholera w r. 1831 straszliwie była się wzmogła pomiędzy pospólstwem wileńskiém od Wielkiejnocy do Przewodniéj niedzieli, wyraźnie od pożywania chłodnych, nadpsutych już i spleśniałych mięsiw. Oby i tu nauki i przykłady światłego duchowieństwa przyjść mogły w pomoc przepisom hygieny! Bo sam nawet postęp cywilizacyi niełatwo wykorzenić zdoła przesądy i zadawnione zwyczaje gminne. U pospólstwa zaś naszego, ba nawet i w wyższéj poniekąd klassie, obfitość i różnorodność „święconego” i pożywanie go aż do Przewodniéj niedzieli włącznie, uchodzi jeżeli nie za wyraźne przykazanie kościelne, to przynajmniéj za jakiś obrządek religijny, lub za chwalebny zabytek dawnéj przodków pobożności. Ztąd też, w niektórych okolicach, nazywać je zwykli „Święconém Pańskiém”, które przecięż zbyt często służy za podnietę wielce szkodliwego obżarstwa... Pospólstwo nasze potrzebę robienia „święconego” na Wielkanoc, prócz zadawnialego zwyczaju, tak jeszcze sobie pojmuje i usprawiedliwia: że téj naczelnéj uroczystości czekali przez *rok cały*... Wszakże i *rocznicy* każdego w szczególności dnia również długo czekamy”.

Przeskoczyliśmy od „święconego” do Franka... Nie wychodząc od znakomitego terapeuty, wróćmy do *prima aprilis*. Nic zabawniejszego w zakresie anegdot historycznych nie znamy nad zdarzenie, które opowiada przytoczony powyżéj Dr. Homolicki: „U stołu, pod koniec marca 1814 r., wszczęła się była rozmowa o powszechnym niemal w całéj Europie zwyczaju, niewinnego oszukiwania czyli zwodzenia swych przyjaciół w pierwszy dzień kwietnia, co Francuzi *un poisson d'avril*, a my Polacy *prima aprilis* nazywamy. Frank utrzymywał, że taki zwyczaj wtedy tylko może zabawić i zająć, kiedy kto potrafi rzecz jakąś lub zdarzenie, z natury swéj niepodobne, tak zręcznie udać za prawdę, że uwiedziony przyjaciel łatwo temu uwierzy. Pochwycił inny z obecnych, że tak możnaby tylko ułowić dudków, ale nie szczwanych lisów, nie ludzi rozumnych, przezornych i ostrożnych. Proszę mi dowieść naprzykład, ażeby pan Jędrzéj Śniadecki uwierzył jakiemuś wymysłowi, z istoty swéj lub przydatkowych okoliczności dalekiemu od prawdy. Na to Frank powiedział obojętnie: „A kto to wie? możeby się udało!”.. Z nadejściem zaś dnia 1-go kwietnia napisał taki bilecik do Śniadeckiego: „Okropne nieszczęście przydarzyło się w moim domu. Dziś Tarquinio (*soprano* neapolitański) goląc się, poderznął sobie gardło. Pośpieszajże mi na pomoc“. Jędrzéj Śniadecki przybiegł cały zadyszany. Frank do podzięki za uprzejmą jego usłużność, przydał uwagę: że *soprani* włoscy, jak mu zapewne wiadomo, nie mają brody nawet w dniu pierwszym Kwietnia.

Spostrzegamy się, że gawęda z powodu „święconego“ i „primae aprilis“ wygląda nakształt musztardy po obiedzie: lecz nie można tego powiedzieć o *gorzkich żalach* rozlegających się wszędzie niezależnie od postu, a których melancholiczném echem musi być pomimowoli kronikarz nieszczęśliwy. Nie chcąc przyczynić się do szkodliwych zboczeń w mozolnym procesie trawienia święconego, jedną tylko zwrotkę powtórzymy łaskawym czytelnikom słowami poczciwych ludzi.

Brzmi ona jak następuje:

„Na prowincyi wszystko co się zowie, leży odłogiem: handel, fabrykacya, rzemiosła tak zaniedbane, że wydziwić się trudno, dla czego tylu ludzi zdolnych i znających co to jest rzeczywista praca, poprzestaje na podrzędnéj roli i skromnym zarobku w stolicy, gdy w każdém większém mieście z otwartemi przyjmą go rękami... byleby potrafił nas przekonać, że nauka i poczciwość z pracą w połączeniu będą jego kierownikami... O potrzebie szkół handlowych i rzemieślniczych w każdém takiém mieście zbytecznie byłoby mówić... Banki zaliczkowe tworzą się pomału; lecz przy takiém moralném usposobieniu i niedbałości o byt i postęp, wątpić należy, czy pożądany skutek osiągną. Pierwéj trzeba nauczyć obchodzić się z pieniędzmi, a późniéj pożyczać, aby to na dobre wyszło”.

Tęskniącym do stref jaśniejszych życia podajemy wiadomość z okolic Wilna, zamieszczoną w „Gazecie Rolniczéj:”

„Klassa małych dzierżawców czyli czynszowników, znanych w naszéj okolicy pod nazwą *szlachty zaściankowéj*, jest dość liczna; w wielu nawet dobrach liczba ich przewyższa liczbę dawniejszych poddanych. Są to jedyni u nas rolnicy, którzy od niepamiętnych czasów szli o własnych siłach. Przy odpowiednich warunkach ekonomicznych mógłby się sformować z tych czynszowników prawdziwy zastęp pracowników, opierających się jedynie na własnych siłach. Bo i dziś nawet nierzadko można pomiędzy nimi spotkać ludzi niepospolitéj energii, wytrwałości w pracy, i pomimo braku oświaty dążących do lepszéj przyszłości. Jako przykład chcę zacytować jednego z takich małych dzierżawców, p. Wincentego Klukowskiego, osiadłego w majętności K. Rodzina jego składała się z matki staréj, od lat kilku łoża nieopuszczającéj, z siostry kaleki i brata ułomnego... Wziął w dzierżawę zaścianek prawie bez zabudowania, z jedną włóką gruntu, nędznie uprawianego, a drugą włoką lasu do wycięcia i uprawy. Energiczny ten człowiek potrafił w przeciągu lat sześciu, z tak ograniczoną siłą wyrestaurować dom mieszkalny, wybudować stodołę, oborę, zaprowadzić ogródek owocowy, a co największa, wytrzebić i oczyścić z pod lasu włókę gruntu. Dodać do tego trzeba, że natura ziemi jest najniewdzięczniejsza i grunt sapowaty w położeniu płaskiém. Zaścianek ten, lasem naokoło otoczony, wygląda jakby nie należał do tego kraju; jest to jakby mała ferma flamandzka: tak tam na każdym kroku daje się widzieć myśl, porządek, praca i zamiłowanie swojego fachu.”

Szanowny p. Władysław Dębski z Krzywonosi (pod Mławą) obdarzył nas łaskawie następującemi dwiema wiadomościami:

Powstał u nas projekt założenia „Towarzystwa wzajemnego wsparcia” oraz „Kassy emerytalnéj dla officyalistów gospodarczych,” Twórcą jego jest p. Giżyński. Zasadniczą myślą projektu jest przychodzić w pomoc tym tylko, którzy rzeczywiście na nią zasługują. Zamiarem założyciela jest, aby filie powiatowe utworzyły z czasem Towarzystwo gubernialne.

Inżynier Uszyński, od r. 1862 zajmujący się przygotowawczemi pracami, mającemi na celu przeprowadzenie kolei żelaznéj z Gdańska na Mławę do Warszawy, zawiadomił listem z Petersburga, gdzie się obecnie znajduje, jednego z obywateli tutejszych, że koléj Mławsko-Gdańska w pierwszych dniach Kwietnia r. b. zatwierdzona zostanie.

Niedawno donosiliśmy o projekcie kolei konnéj od rogatek Mokotowskich do Powązkowskich. Obecnie dowiadujemy się o nowym projekcie, nie ograniczającym się połączeniem dwóch krańcowych punktów miasta, lecz zamierzającym przeciąć miasto w kilku kierunkach i połączyć wszystkie prawie ważniejsze place... Główna linia, podług pomienionego projektu iść ma z Placu Krasińskiego ulicą Miodową, Senatorską, Krak. Przedmieściem, Nowym Światem, Aleami Ujazdowskiemi do Ogrodu Botanicznego.

Druga linia z Placu Zamkowego ulicą Senatorską, Żabią za Żelazną Bramą, następnie Graniczną, Królewską, Marszałkowską, Aleami Jerozolimskiemi, Bracką, na Plac Trzech Krzyży, dla połączenia się z pierwszą.

Koncessya na budowę drogi żelaznéj z Radziwiliszek do Dynaburga została już zatwierdzona.

Komitet budowy kolei żelaznéj z Kalisza do Leszna uczynił podanie o koncessyę i jednocześnie wszedł w układy ze spółką, która ma rozebrać pomiędzy siebie akcye przedsiębierstwa.

Kanalizacya Warszawy ma przyjść do skutku. Kwestya ta tak ważna ze względów sanitarnych, była w różnych czasach przedmiotem wyczerpujących artykułów w prassie warszawskiéj (wspomnimy tu przedewszystkiém pracę D-ra Markie-

wicza z Soczewki zamieszczoną w Gazecie Polskiéj). Różność poglądów może tu naszém zdaniem ściągać się tylko do strony technicznéj tego pożytecznego przedsięwzięcia, t. j. można dyskutować *jak* się ma dokonać kanalizacya w Warszawie, nigdy zaś *czy* ma przyjść do skutku? Dla tego też przykre na nas zrobił wrażenie artykuł p. Makowieckiego w tym przedmiocie w Nr. 83 Kuryera Warszawskiego zamieszczony. Autor wprawdzie z pewną słusznością dopomina się, ażeby obywatele miejscy mający brać udział w przeprowadzeniu kanalizacyi, nim zaciągną jakieś zobowiązanie, wiedzieli przynajmniéj ogólnie, na jakich podstawach ekonomicznych dokona się to ważne dla Warszawy dzieło? Jednakże tezę swoją p. M. rozwija z pewnym zniechęcającym pessymizmem, który u ogółu publiczności z natury konserwatywnego, wyrabia nieufność do samego przedsięwzięcia. Koncept p. M., który mówiąc o drogiéj i taniéj kanalizacyi, zapytuje w formie porównania: dla czego płacić rubla za lekarstwo, jeśli można wyleczyć rumiankiem za pięć groszy? nie przekona zatwardziałych zwolenników radykalnéj medycyny, przekładających najdroższe lekarstwa raz jeden nad rumianek co tydzień, ale może się podobać większości, która zawsze skłonna w ważnych nawet chorobach rumiankiem się wykręcać. Nie myślimy tu bynajmniéj obstawać za *drogą* kanalizacyą,— która jak słusznie opiewa przypisek Redakcyi Kuryera, odbije się na nas biednych uciemiężonych lokatorach; ale jesteśmy tego zdania, że kwestyi tak ważnéj nie streszcza się choćby w najdowcipniejszém *bon-mot*, któreby stanowisko bierne wielu obojętnych zmieniło na odporne.


2. Modlitwa.


3. Zwątpienie.

———

Słówko o odczytach.

P. Grajnert, w 2-iéj części odczytu swojego, traktującéj „o poetyczności i znaczeniu podań słowiańskich, a szczególniéj naszych, w literaturze," wspomniawszy o pierwotnym pobycie Słowian z aryjskiemi ludami na wyżynach Iranu, przytoczył wspólną im wiarę w żywioły, które się u nas dotąd nawet w niektórych wyrażeniach i praktykach przechowały (np. w przechowywaniu ognia poświęconego od roku do roku, co poprzednio u nas w okresie *Sobótek* czyniono). Ztamtąd też Słowianie przyniesli do Europy wiarę w dualizm, w duchy jasne, białe *Bily* czyli *Wily*, i w duchy złe, czyli *Diwy, Dziwy.* Poetyczne białe bóztwa rozrodziły się u nas na Gaiłki, Rusałki, Goplanki, Świtezianki, a złośliwe na *Didki* ruskie i *Baby Jagi*, Jędze i Dziwy, *Utopki* polskie i czeskie. Prelegent przytoczył wiele ustępów poetycznych z podań ludów słowiańskich o zaćmieniach słońca, księżyca, o *Koniu wieszczym siwku*, o Jutrzence i Zorzy — *Matce słonecznéj*, bóztwach eterycznéj piękności, które uważał jako rapsody rodziméj mitologii słowiańskiéj. Podobnież zacytował poetyczne pojęcia pomienionych ludów o kwiatach, krzewach, drzewach i ziołach świętych, odznaczających się pięknością lub użytecznością. Ludy słowiańskie, a szczególniéj Polanie, ukochali naturę ich otaczającą miłością rzewną, czego ślady dotąd w pieśniach i powieściach ludowych mamy.

Następnie prelegent skreślił obraz żywota cichych, szlachetnych, rolniczych, unikających wojen Słowian—a to na zasadzie pięknych, dotąd wśród ludu powtarzających się podań. Porównał te ostatnie z niemieckiemi, oddając słuszność tym i tamtym. Niemieckie więcéj mają w sobie siły i wyrobienia; słowiańskie zaś, a w szczególe polskie (czyli dawnych Polan) odznaczają się rzewném uczuciem, szlachetnym i wysoko-moralnym kierunkiem. Na dowód dał kilka pięknych cytat, wykazujących poglądy głębsze ludu na życie, oraz dowcipną niekiedy satyrę... Jako wynik usposobienia ludów słowiańskich — pieśni i podania nasze — nie mają wprawdzie gorącéj fantazyi wschodniéj; ale za to idea ich jest żywsza i wyższego kierunku niż tamta... Wstręt do wojen ludów słowiańskich, że jakkolwiek zmuszeni, umieli silną pięść wrogom pokazać, a jednak pod ubożuchną rodzinną strzechą, wśród szumu wierzb, sosen, dębów, jaworów, kalin, wśród kwiecia i woni dziewanny, macierzanki i róży, chętnie wspominali o bojach...

Prelegent podzielił podania na trzy główne obrazy i klechdy, legendy historyczno - mistyczne, na tle chrześciańskiém osnute, i opowiadania czarodziejskie i czarownicze. Dłużéj zastanowił się nad legendami, w których wątku historycznego i obfitych źródeł poezyi szukać należy.

Zacytował kilka ustępów piękniejszych z podań naszych i chorwackich; analitycznie, o ile ramy odczytu dozwalały, przebiegł rozległą legendę chrześciańsko-pogańską o Madeju i powieść o Sowizdrzale i Twardowskim. O tym ostatnim, uważanym przez lud za czarnoksiężnika, użytecznego dla swego społeczeństwa, wyraził zdanie, że stanowi szlachetniejszy materyał dla poety niż Faust niemiecki. — Wpływ podań rodzinnych pierwszy raz dopiero, obok panowania grecko-łacińskiego klassycyzmu, odbił się nieco w poezyach Kochanowskiego. Z powstaniem romantyzmu w Niemczech i w skutek wołań o reformy ks. Konarskiego i prac ks. Bohomolca (?), zjawiły się u nas poezye na tle ludowém osnute (Karpiński, Brodziński). *Wpływ literatury niemieckiéj wydał nam ballady Mickiewicza* (co za blu-

żnierstwo!), który jest przedstawicielem głównym nowéj szkoły poetycznéj, zasadzającéj się na romantyczności, opartéj na podaniach i żywiole ludowym. Odyniec i Chodźko wspomogli wielce swém piórem tę szkołę. Następnie zjawił się cały orszak poetów mniéj więcéj znakomitych, dopełniających swemi utworami tę nową szkołę, bo czerpiących również wątek dla swéj twórczości z podań. Po nad nimi wzbił się najwyżéj Słowacki w *Balladynie, Lilli Wenedzie* i *Śnie srebrnym Salomei.* Drobne, lecz głębokiéj myśli podanie zrodziło pod piórem tego wieszcza brylantową *Balladynę*—królowę zbrodniarkę... W *Lilli Wenedzie* wieszcz przesadził charakter nieprzyjaciela... W końcu prelegent wymienił zbiory podań i pieśni naszych, najwyżéj podnosząc prace Oskara Kolberga i Kornela Kozłowskiego, zachęcił do zbierania *in crudo* nowych badań, a poetów do czerpania z nich żywiołu tak obfitego, a nigdy nieprzebranego.

Kronika nie jest krytyką. Nie wypowiadamy więc zdania naszego o odczycie p. Gr. Nie jest

Chętniebyśmy tę zasadę zastosowali do odczytu pana Podwysockiego,—gdyby prelegent wystąpieniem swojém nie dowiódł lekceważenia pu-



4. Duch poezyi.

bliczności, którego kronikarz milczeniem pominąć nie ma prawa. Dość powiedzieć że w prelekcyi „O pozytywizmie" nie było wzmianki o Comcie

brakuje jéj wcale) w takim razie wdzięczną być może Kielcom, że nawet w smutnym objawie zbywania byle czém publiczności spieszącéj na odczyty, poszły za jéj przykładem.

P. Michał Gliszczyński, obecnie współpracownik wychodzącéj w tém mieście gazety, — rozpoczął w sobotę, dnia 13 b. m. szereg odczytów, a raczéj opowiadań historycznych. Przedmiotem pierwszéj i drugiéj pogadanki miały być życiorysy królowych polskich.

Stanowisko, zdobyte przez prelegenta w literaturze krajowéj, kilku nie bez wartości monografiami historycznemi (Życie Sokratesa, Hus i Husyci) kazało się spodziewać, że odczyt ten nie będzie zdawkową monetą jałmużny rzuconéj zgłodniałym wiedzy umysłom prowincyonalnéj publiczności, ale raczéj posilnym i zdrowym pokarmem, pełnym pożywnéj treści dla duchowego pożytku. Oczekiwanie to, niestety! zawiedzione zostało. Prelegent, nie znający jeszcze dobrze kieleckiéj publiczności, uznał za stosowne traktować ją jak dzieci. Słuchacze nie spotka-



5. Koło obowiązków. (145).

on ostatniém słowem nauki, lecz nie jest też gawędą babek kościelnych, która przyśniła się pewnemu pismu, nadto krewkiemu.

o Spencerze, o Huxleyu, o Milu!

Jeżeli Warszawa, jak każde główne ognisko, ma swoją pychę stołeczną (a téj jak się zdaje nie-

li się ani z charakterystyką obyczajów w Polsce, ani z dokładném określeniem stosunku rządzących do rządzonych, ani wreszcie z naturą wpły-

wu wywieranego przez królowe na rząd, stosunki polityczne i obyczaje. Była to sucha, wszelkiego krytycznego poglądu pozbawiona opowiedź dat, nazwisk, faktów, legend i anegdot, które w każdym elementarnym podręczniku historycznym znaleźć można. Wiązadłem pomiędzy pojedynczemi częściami odczytu był porządek chronologiczny; — myśli przewodniéj odszukać nie mogliśmy. Za wymówkę prelegentowi służył brak źródeł, do odtwarzania stanowiska królowych polskich w pierwszéj (piastowskiéj) epoce dziejów. Wymówkę tę chętnie gotowiśmy przyjąć, dopóki rzecz szła o Odę, Knildę, Hemildę, Ryksę lub Agnieszkę, ale prelegent kończąc pierwszy swój odczyt życiorysem Jadwigi, nie uznał za stosowne powiedzieć nic więcéj nad to: że kochała się w Wilhelmie, została żoną Jagiełły, była dobrą, pobożną i litościwą, — że wreszcie znalazł się potwarca, oskarżający ją o niewierność dla męża. Toć z dzieła Karola Szajnochy (Jadwiga i Jagiełło) i z „Jagiellonek“ Al. Przeździeckiego więcéjby wysnuć się dało.

„Niwa” wystąpiła z dobrym i pożytecznym pomysłem ogłoszenia konkursu na dzieło treści poważnéj. Temat podany przez „Niwę” „O tegoczesnym u nas handlu zbożowym” zapełniłby ważną lukę w naszéj literaturze, gdyby brak źródeł i gruntownych danych statystycznych nie stawał w wielkiéj części na przeszkodzie do wyczerpującego traktowania przedmiotu. Nie przesądzając praktycznych rezultatów téj myśli uważamy ją za obywatelską, i godną naśladowania.

NA ULICY.

OBRAZEK SCENICZNY

przez Wacława Szymanowskiego.

Osoby: PAWEŁ, GAŁGANIARZ

(Ulica Staromiejska. — W głębi i na lewo szereg domów. Na prawo szynk, ponad którym wisi latarnia. Drzwi od szynku otwierają się, widać oświetlone wnętrze. Z szynku wybiega szybko Paweł. Drzwi zamykają się, słychać trzask zasuwających się rygli. Na zegarze miejskim bije północ.)

Scena I.

PAWEŁ (przysłuchując się uderzeniom dzwonu zegarowego).

Północ... miasto śpi i pora dogodna.
Ostatniéj miarki nie wypiłem do dna.
Ta wódka pali... tfy!... czarci nadali.
W gardło się leje, a tu w głowie pali.
Dziwnie się patrzył ten szynkarz, gdym z pięści
Już jedynego dobywał trojaka:
„No, wypij bratku, to truje robaka,
Ostatnia miarka może się poszczęści...”
Ha! może... byle co licho przyniosło—
Jednak mnie jakiś niepokój ogarnia...
Czy to tak trudne złodziejskie rzemiosło?
Zabiegnąć z tyłu, schwycić... Ta latarnia
Głupio migoce, przez zamglone szyby
Mały, niepewny płomyczek się kłębi;
A jednak świeci i patrzy, jak gdyby
Chciał światłem wniknąć do sumienia głębi
I myśl tajoną zbadać do ostatka...
Światło to świadek; nie trzeba mi świadka,
Zgaszę...
(Podchodzi pod latarnię; chwila namysłu.)
E... lepiéj zostawię, niech sobie
Pali się daléj, cóż szkodzi, że świeci?
To co mam zrobić, i przy świetle zrobię—
Kradnę bo muszę, bo w domu głód; dzieci
Moje tam cierpią i żona spłakana
Czeka. Gdym z domu wychodził dziś z rana,
Moja najmłodsza, gołąbeczka biała,
Na swoim twardym sienniku klęczała
I przez łzy pacierz szeptała schylona.
— Czy wrócisz prędko? zapytała żona.
— Nie wiem—odrzekłem.
— Pocóż idziesz?
— Po to,
Byś całéj nocy jak dziś nad robotą
Nie przepędzała; szanuj sił ostatki
Dla twoich dzieci; dziecko schnie bez matki
Jak kwiat bez słońca... Na twarzy jéj zbladłéj
Wykwitł rumieniec, niemym ruchem igły
Wskazała popiół w kominie wystygły
I rzekła:
— Dzieci wczoraj nic nie jadły...
Brr!... dreszcz mnie przeszedł; to ta mgła do kości
Przejmuje jakoś, na piersiach osiada
I... Bo cóż czynić, to ostatnia rada...
Litość!... mam dosyć téj ludzkiéj litości;
To także drugie ognisko co zgasło.
„Każdy dla siebie“, takie dzisiaj hasło,
Rwą na kawałki to Królestwo Boże,
A niech się słabszy broni jeśli może.
Niechaj się broni... ja też siebie bronię
I moich... Gdyby krzyknął? Zdławić!... O nie!
To zbyt okropnie! aż się dusza cała
Wzdryga na tę myśl... Nic mnie nie rozgrzała
Wódka — a jednak wypiłem jéj tyle...
W człowieczém życiu są tak straszne chwile,
Przez które tylko drżąc przechodzi noga,
A potem gładziéj wywija się droga.
I na mnie taka chwila dziś napadła.
I ja w tém błędném stałem wyżéj kole—
Spadłem... a biada tym, którzy na dole...
Ona tam siedzi smutna i wybladła,
I wypatruje czy powrócę rychło
Ufniejszy w siebie i w nadzieję zbrojny.
W izdebce także wszystko już ucichło,
I tylko oddech dzieciątek spokojny
Swym lekkim szmerem przerywa tę ciszę...
O nie!... głód do snu nie dobrze kołysze,
Cierpią, bo głodne... O! gdyby w téj chwili...
No cóż? wszak nieraz słyszeć się wydarza,
Że tam okradli kogoś lub zabili,—
Od tegoż ludzie... Wzrok tego szynkarza
Ciąży mi, jużem myślał, że odgadnie
Co się ukrywa w sercu mojém na dnie,
Spuściłem oczy. — Zdało, się że czeka,
Aż mu wypowiem wszystko... Tam z daleka
Ktoś idzie... tak jest, idzie... teraz pora...
Poczciwiec jakiś, on sobie z wieczora
Poszedł odwiedzić znajomych, a może
Zagrał się w karty i wraca nieboże,
Nie wiedząc, że tu łotr na niego czeka...
Łotr, rabuś... Jak tu zajść tego człowieka?
Z przodu, i schwytam za kołnierz, i palce
Wpiję mu w gardło, tak—zabiegnę z przodu:
„Dawaj pieniędzy psie! bo zdycham z głodu!“
A jeśli będzie się bronił i w walce...
O nie! poczekam aż przejdzie, tak lepiéj...
Zajdę go z tyłu, i nim siły skrzepi,
Schwycę i zedrę co bądź, co się zdarzy...
Wolę to... nie chcę widzieć jego twarzy,
Z oczu mu może coś strasznego patrzy...
Przejdzie i kroki policzę... raz, dwa, trzy
I już... On zwraca w bok! Co to? Na Boga!
Czyżby mnie spostrzegł? Nie, widać mu droga
Tamtędy... Mniejsza, niech uchodzi cało,
Bo czuję, że mi siłyby nie stało,
Słabłem i trzęsły się podemną nogi.
Teraz się śmieję z téj dziecinnéj trwogi;
To taki głupi przesąd, tak, jedynie
Przesąd, lecz niechaj kto bądź się nawinie...
Ten szynkarz... On coś musiał o mnie z tego
Myśleć...

Scena II.

PAWEŁ i GAŁGANIARZ.

(Gałganiarz wychodzi z ulicy po lewéj stronie z koszem na plecach.)

GAŁGANIARZ.

Popraw no mi kosz kolego
Bo dyable ciężki, w plecy się powkrawał,
A jeszcze drogi mam przed sobą kawał.

PAWEŁ (drgnąwszy silnie, opamiętywa się po chwili i pomaga gałganiarzowi do poprawienia kosza)

Wszak tak?

GAŁGANIARZ (potrząsa koszem).

At... bieda z plecami mojemi!
Lepiéj go oto postawię na ziemi.
Odpocznę krzynkę.
(Stawia kosz na ziemi i przeciąga się.)

PAWEŁ.

Czy idziesz z daleka?

GAŁGANIARZ.

No, aż z Nalewek, toć człek nie kaleka,
Ale nad Wisłę dyabla szmata drogi.
Nie przymierzając ustały mi nogi.

PAWEŁ.

Czemu tak późno?

GAŁGANIARZ.

A czemu? Bo trzeba.
Twardy i ciężki dziś kawałek chleba,
A w domu żona i drobiazgów para;
Więc człek jak może kręci się i stara.
Przez całe rano chodzę za robotą,
Znoszę lub dźwigam ciężary; a co to
Biedy, tragarzem jestem lub parobkiem—
Napoć się nieraz za nędzną zapłatą...
A żona także trudni się wyrobkiem
I pcha się taczka. Wieczorem zaś za to
Zbieram gałgany, i nieraz dwa kosze
Tak, nocną porą, do składu odnoszę.

PAWEŁ

A co to warto?

GAŁGANIARZ

Spojrz co się tu mieści...
Nie żarty panie, groszy ze trzydzieści
Dostanę za to.
(Wyjmuje gałgany z kosza: płótno, jedwab, wata.)
Czasem się nawet zdarzy taka szmata,
Że uprać i brać, to wszystko pieniądze...
Z takich gałganów sam się oporządzę
I żonie starczy,—a nieraz się złoży,
Że...

PAWEŁ (na wpół sam do siebie)

Ciężka praca przez cały dzień Boży.

GAŁGANIARZ.

Ciężka, bo ciężka, toć zawsze po Bogu;
Ale przynajmniéj je się chleb nie próżno.
Bo cóż? wyciągać łapę gdzie na rogu,
Albo po domach chodzić za jałmużną
I łgać ludziskom tak z otwartém czołem
Wstyd... toć człek nie jest dziadem pod kościołem.

PAWEŁ.

Ależ tak licha zapłata...

GAŁGANIARZ.

O rety!
I cóż strasznego? tak dola pr zyniosła.
Gdybym się uczył książki lub rzemiosła,
Spychałbym także ruble do kalety,
Dąłbym z magnacka, i dziękując Bogu
Żyłbym po pańsku, jak ów szynkarz z rogu.

Ale kto z dziecka w biedzie grząsł po szyję
Na bruku zrodzon, to z bruku i żyje,
I kontent.

PAWEŁ.

Nieraz wspomnisz sobie przecie
Że tylu ludzi szczęśliwych na świecie.

GAŁGANIARZ.

Toć różnie bywa, mój człeku kochany!
Ale niech ich tam, cóż że mają krocie?
Nie przymierzając, to jak te gałgany...
Błyszczało kiedyś, a dziś leży w błocie.
Ja za mą dolę wdzięczny Bogu szczerze;
Kosza przynajmniéj nikt mi nie zabierze.

PAWEŁ.

Lecz powiedz jednak, nie miałeś ty chętki
Na łatwy sposób zarobku i prędki?

GAŁGANIARZ.

Jaki?

PAWEŁ (robiąc gest).

No...

GAŁGANIARZ

I cóż?

PAWEŁ (z wyraźniejszym gestem).

Są zarobki czyste...
Kto ma pięć palców...

GAŁGANIARZ

Co? kraść? Jezu Chryste!
O rany bozkie! Mój ty człeku, co ty
Mówisz? Mam zdrowe ręce do roboty
Toć i tak wielka boża na mnie łaska...
I ja miałbym kraść, ja kraść! tfy do dyaska!
A toćbym wolał już lepiéj bez żalu
Gryźć kamień z bruku lub zdychać w szpitalu,
Wolałbym widzieć śmierć dzieci i żony
Na psim barłogu, niż jeść chleb kradziony.
Oj! na tym chlebie nikt nie utył zdrowo!...
Tfy! wstyd wymówić takie grzeszne słowo.

PAWEŁ (spuszczając głowę na piersi).

To prawy człowiek.

GAŁGANIARZ.

Ja zbieram ze śmieci
I krzywdy żadnéj nie czynię nikomu;
Ale strzeż Boże mnie, żonę i dzieci,
By inne śmiecie postały w mym domu.
Co tam, że kubrak na karku wytarty
I że ciężary przygarbiły szyję?
Toć wiem przynajmniéj, że po Bogu żyję...
No, lecz ty zemną człeku stroisz żarty,
A to czas wielki już na mnie.
(Dźwigając kosz): Hej, mały!
Daléj na plecy... Coś ręce stężały,
Lecz to nic... Niechaj będzie pochwalony!
(Odchodzi śpiewając.)
Mój ojciec był podcztolonem, podcztolonem,
Pod stołem siadał — daduna—pod stołem siadał,
Ludzie kości mu rzucali, mu rzucali,
On jak pies zjadał—daduna—on jak pies zjadał.
(Głos oddala się i niknie powoli.)

Scena III.

PAWEŁ (sam).

Szczęśliwy.. śpiewa... On w nędzy zrodzony,
Ale ja... żyć tak dłużéj to męczarnia...
Trzeba... Dziwny strach jakoś mnie ogarnia...
I myśl się ciągle ku jednemu zwraca...
Ten człowiek... praca... ale jakaż praca?
Mnie rady ojca w drogę życia wiodły
I Boga w serce wpajała mi matka;
Dziś przygnębiony padam jak tchórz podły,
A ten odważnie walczy do ostatka.
Gdym go słowami wyzywał niecnemi,
Z jakimż pogardy odtrącił mnie gestem!
On... proch uliczny, przygniecion ku ziemi...
Przy tym nędzarzu lichym czémże jestem?
Kraść!... Lepiéj, mówił, skonać na barłogu...
O nie! Na przekor i ludziom, i Bogu,
Wytrwam... Zerwałem już raz tę obrożę,
Czuję się silnym i...
(Urywa nagle; słychać dzwon kościelny wzywający na Anioł Pański, chwieje się chwilę i upada na kolana.)
Przebacz mi Boże!

(Zasłona spada.)

KORESPONDENCYA.

Florencya, w Kwietniu 1872.

(A. W.). W poprzednich swych listach pisałem wam o literaturze peryodycznéj i o wszystkich kierunkach i objawach literatury współczesnéj bieżącéj; obecną korrespondencyę radbym poświęcić Melpomenie, Terpsychorze i innym muzom opiekunkom sztuk pięknych, jakie bez przesady powiedzieć można największy hołd w Italii otrzymują i tu też główne sobie siedlisko wybrały.

Już w poprzednim liście wspomnieliśmy, że główną przyczyną niepomyślnego stanu tutejszéj literatury belletrystycznéj jest nadzwyczajny wzrost i rozwój teatru, dla tego też z kolei rzeczy pragniemy nieco o nim pomówić, a także i o literaturze dramatycznéj, aby lepiéj wyjaśnić kwestyę przez nas samych poruszoną.

Ktokolwiek zna tutejsze stosunki przyznać musi, że życie familijne we Włoszech nie przechodzi granic ściśléj konieczności, bez jakiéj żaden człowiek obejść się nie może, życie zaś towarzyskie w znaczeniu w jakiem my pojmujemy całkiem jest tu obcem. Zacisze domowe, przybytek owych *lares familiares* dla życia familijnego jest, że tak powiem miejscem kary, expiacyi i pokuty, dla towarzyskiego zaś miejscem zbyt szczupłem, niewygodnem, a często może i niestosownem. Niewiem czy to skutkiem przeludnienia się miast, a ztąd bezpośrednio wypływającego braku mieszkań wygodnych, czy też skutkiem wrodzonéj zkądinąd bardzo naturalnéj ekonomii i odrębnych zwyczajów, dość na tem, że ognisko domowe wprawdzie za zwyczaj bardzo szczupłe i bez komfortu żadnego, odpycha od siebie swoich zwykłych mieszkańców i bynajmniéj nie jest bliżkiem pozostania centrem życia familijno-towarzyskiego. Dla tego też ulica, ogród, świątynia Bachusa i wszelkiego rodzaju gastronomiczne przybytki, wreszcie cyrkowa arena i Melpomeny przytułek są ulubionemi dla Italów miejscami, gdzie nie tylko zawiązują się i podtrzymują kółka towarzyskie, a raczéj gdzie się koncentruje, propaguje i rozwija życie towarzyskie, lecz także i rodzina po znojnych dziennéj pracy trudach szuka tam swego wypoczynku, rozrywki i zabawy. W takim stanie rzeczy dziwnem być nie powinno, że zawsze a szczególniéj wieczorem kawiarnie, restauracye, handle win, piwiarnie, ogródki, cyrki, teatra i inne tym podobne miejsca publiczne gośćmi lub widzami są przepełnione i że każdy, że tak powiem, ze stoickiem zaparciem się podczas dnia nie jednéj odmówi sobie wygody, chociażby ta była nawet z krzywdą własnego żołądka, byle w podobny sposób grosz oszczędzony pozwolił mu wieczorem wyrwać się z objęć swego mieszkania i przepędzić kilka godzin w miejscu *rendez-vous*, powszechnego, wspólnego... Jednem z miejsc najbardziéj uprzywilejowanych w towarzyskiem życiu jest teatr, bez którego zdaje się żyć by nie mogli Itale i chyba musieliby zmienić zupełnie swe dotychczasowe stosunki, sięgające czasów przedchrystusowych, bo już lud rzymski temu w ręce składał władzę nad sobą kto go potrafił lepiéj zadowolnić w zadaniu *panem et circenses*. Dla tego też teatr dla mieszkańca Apenińskiego półwyspu, a szczególniéj dla Toskańczyka jest wszystkiem, jest on dla niego szkołą, gdzie się uczy pierwszych zasad towarzyskiéj etykiety i nabiera zewnętrznéj ogłady- jest on dla niego po kościele najdroższym i najkonieczniejszym przybytkiem w którym zapomina o twardych kolejach swego losu, nie myśli o teraźniejszości o przyszłości nic nawet wiedzieć i zastanawiać się niechce, gdzie nabierze sił nowych do mężnego pasowania się a raczéj ignorowania przeciwności. W teatrze rozbudza się wygasła namiętność Itala nastraja się uczucie, rodzi się natchnienie, zawiązuje się wreszcie znajomość i konwersacya, oddaje się wizyty i urządza się *rendez-vous*, wszelkiego rodzaju. Z Włochem być razem w teatrze znaczy tak dobrze, jak złożyć lub oddać mu wizytę, a kółka przyjaciół i znajomych jeżeli się chcą dobrze ubawić, bynajmniéj nie zbierają się w domu jednego z nich i tam na serdecznéj pogadance lub też innéj towarzyskiéj rozrywce w połączeniu z tem co u nas definiuje się w kilku słowach, „*czem chata bogata tem rada*" wspólnie wieczór spędzają, lecz razem idą do teatru, a potem do kawiarni lub restauracyi, gdzie każdy za siebie płaci najprzyzwoiciéj nie wyłączając niewiast i dzieci, które w rzadkich tylko wypadkach są ciężarem całéj komitywy, gdy odpowiednia do tego *communi consensu* zapadnie uchwała.

Charakterystyczną jest rzeczą, że w bardzo wielu małych miastach, które podczas wieloletniego tutaj pobytu zwiedziłem, urzędy municypalne pomieszczone są w budynku teatralnym. Tym sposobem jest widocznem, że po kościele pierwszym publicznym gmachem nowo tworzącego się miasta był teatr, którego tylko część zbyteczna, jaka zazwyczaj znajduje się we wszystkich teatrach zbudowanych w kwadrat lub prostokąt, oddaną została na użytek zarządu municypalnego czyli jak tu mówią komunalnego.

W takim stanie rzeczy łatwo każdy pojmie, jak wysoko rozwiniętym jest w Italii teatr i do jakiéj perfekcyi doprowadzoną jest sztuka dramatyczna, ja z méj strony dodam tylko, że w żadnym innym kraju nie zdarzyło mi się znaleść tyle wrodzonego poczucia artystycznego, ani też spotkać tylu wysoko utalentowanych i wyrobionych artystów ilu ich posiada Italia. Samo przez się wynika, że nigdzie też autor, aktor, reżyser, dekorator i antrepener (*impessario*) nie jest tak surowo i sprawiedliwie sądzonym jak tutaj.

Mając znakomite wzory mistrzów, znajdując sprawiedliwe ocenienie i uznanie w publiczności, wreszcie będąc nieustanną emulacyą ożywiani, dramatyczni pisarze sumiennie studyują swoje społeczeństwo, wnikają w jego najgłębsze tajniki, a chcąc je poprawić, podnieść i uszlachetnić, w dobrze obmyślanych typach starają się uwydatnić *jego* mniéj lub więcéj zakorzenione wady i w sposób komiczny, satyryczny lub tragiczny usiłują przedstawić ich smutne następstwa i skutki szkodliwe.

Z tego com wyżéj powiedział, bynajmniéj niewypływa, aby wszystkie tutejsze utwory były jednakiéj wartości i aby pomiędzy talentami i wyrobieniem się autorów nie było żadnéj różnicy, bo ta, że tak powiem, skala zdolności wrodzonych, pracy sumiennéj i zasługi wszędzie, a zatem i tutaj, egzystować musi; lecz spostrzeżeniami temi chciałem zwrócić uwagę czytelnika, że tylko ludzie prawdziwego talentu i mniéjwięcéj pewnéj

biegłości literackiéj biorą się do tego rodzaju pracy, bo nieszczęśliwy śmiałek nietylko niczegoby tu nie dopiął, ale wystawiłby się na bardzo nieprzyjemne krytyki, a nawet na publiczne pośmiewisko. Lecz jeżeli autorowie dramatyczni z jednéj strony wielu potrzebują zalet wrodzonych i zasobów zdobytych pracą, to znów z drugiéj strony żaden literacki utwor nie ma tyle powodzenia, nie otrzymuje rychléj i sowiciéj nagrody właściwéj, więcéj nie schlebia miłości własnéj autora, i dramaturgia. Zazwyczaj autorowie dramatyczni utwory swe przed kilkakrotnem przedstawieniem ich na różnych scenach włoskich teatrów nie drukują, lecz odstępują przedsiębiorcom teatralnym, którzy wedle egzystującego prawa są zobowiązani do odstąpienia dziesiątéj części dochodu (*in brutto*) z każdego przedstawienia jeżeli wpierwéj inaczéj się nie ułożono. Po zyskaniu aprobacyi publicznéj, ze sceny utwór przechodzi do drukarni i wtedy stanowi dla autora inny rodzaj dochodu. Dla tego też każdy zdolniejszy pisarz całą duszą oddaje się dramatycznéj literaturze bo ona zajmuje wszystkich, jest lubianą, szanowną podziwianą i wielbioną przez wszystkich, gdy tymczasem wszelkiego innego rodzaju belletrystyczna literatura szczególniéj też powieść obyczajowa cieszę się nie znacznem kołem zwolenników zszeregowanych po największéj części pomiędzy osobami w wieku, lub też dolegliwościami fizycznemi zmuszonemi do niewychodzenia z domu, po największéj części pozostawioną jest uprawie abiturientów i miernych ambicyjek pisarskich. Tak więc w ogóle tylko nowicyat zawodu literackiego dostarcza materyału do felietonów i kronik dziennikarskich do humoresek, nowelli i wszelkiego rodzaju szkiców współczesnych, komedya zaś, dramat i tragedya stanowią obecnie w Italii konieczność, istotę i pełnię powołania i talentu pisarskiego. Wspomniałem wyżéj że *w ogóle tylko nowicyusze dostarczają* materyału do tutejszéj belletrystyki dla tego, że podobne powieściopisarskie talenta, jak Manzoni, D'Azeglio, Guerrazzi i kilku innych autorów drugorzędnéj wartości należą do wyjątków. Nawiasowo tu wspomnę, że po opuszczeniu opisów miejsc i osób i po zebraniu samych tylko dyalogów ze wszystkich romansów i powieści wspomnianych pisarzy, potworzono dramata historyczne, z których niektóre służyły za libretto do napisania opery.

Jak dalece kwitnie tutaj literatura dramatyczna dość będzie wyliczyć utwory, które w zeszłym roku z powodzeniem zostały przedstawione w teatrach florenckich (we Florencyi liczącéj mało co więcéj nad 200000 stałych mieszkańców za czasów stolicy oprócz kilku prywatnych mamy 12 publicznych teatrów: *Pergola* wielki teatr subwencyowany przez florenckie municypium w ilości 120,000 franków rocznie, *Pagliano* gdzie zwykle dwór królewski bywał, *Principe Umberto*, nieco mniejszy od dwóch poprzednich lecz na równi z nim służy zazwyczaj do przedstawienia opery, *Niccolini, Teatro Nuovo, Teatro di Piazza Vechia Logge, Alfieri, Goldoni, Rossini, Arena Nazionale i Politeama*). 1) *Piotr delle Vigne* komedya odegrana w Teatro Nuovo, autor Parmeniusz Bettoli. 2) Tegoż samego autora i w tymże samym teatrze odegrano nieco późniéj komedyę p. t. *Papieztwo* i *Cesarstwo* która została wygwizdana. 3) *Lecari* komedya przedstawiona w nowym teatrze 4) *Miłość Zrównywa* (Amore Ugnaglia) komedya Achillesa Torellego 5) *Kwaterno Nanniego* humorystyczna komedya Landiniego odegrana w teatrze Rossini. Wyśmiewa ona zakorzeniony, a nawet zabobonny nałog grania w loteryę 6) *Gra w Loteryę* przedstawiona w teatrze Goldoni była napisaną przez emulacyę z poprzednim utworem przez Cesara Calviego 7) *Lodownik z Białéj Góry* (Ghiacciaio di Monte Bianco) dramat Leopolda Marenco odegrany w Nicolini; 8) Tamże przedstawionym był dramat zasłużonego już pisarza Monteurbolego pod tytułem *Rehabilitacya*; 9) Trzyaktowa komedya *Wdzięczność* odegrana w teatrze Nicolini bardzo szczęśliwie wyśmiewa wpływ bankierów na dzisiejsze społeczeństwo. Ma to być najlepszy z utworów Ludwika Suner'a; 10) Teatr delle Logge zareprodukował komedyę Juliusza Polesego pod tytułem *Kuzyni*; 11) Tamże z powodzeniem przedstawiony był dramat Leop. Marenco pod tytułem *Sokolnik* (Falconiere); 12 i 13) Dwie komedye Józefa Costettiego *Letnie obłoki* i *Zazdrość Rozpustnicy* (ta ostatnia premiowana) z wielkiem zadowoleniem i uznaniem były przyjęte przez publiczność; 14) *Galwanizm* komedya Molinarego odegraną była w teatrze Niccolini; 15) Tamże dramat Ludwika Muratori *Ambitne Marzenia*. 16) *Monaldesca* komedya Napoleona Giottego odegraną była w teatrze Goldonia; 17) *Przyczyny i Skutki* premiowany dramat Ferrarego przedstawia smutne skutki niedostatecznego wychowania i niewolnictwa społecznego kobiet i doznał gorącego przyjęcia od publiczności bywającéj w teatrze Niccolini; 18 i 19) W tymże teatrze odegrane były następujące dwie komedye z *Galernika Marynarz* przez Bervezio. *Smutna Rzeczywistość* utwor Torellego. (*d. c. n.*)



6. Śmierć. (146).

JÓZEF HALL

I JEGO FANTASTYCZNA PODRÓŻ PO ZIEMI.

Wcale nieznana zapewne jest u nas książka w łacińskim języku napisana i pod tytułem: „*Mundus alter et idem, sive terra australis antehac semper incognita auctore Mercurio Britannico*, (t. j. świat drugi a ten sam przecię, czyli ziemia południowa przedtém wciąż nieznana, przez Merkurego Brytańczyka) wydana pierwszy raz r. 1643 w Utrajectum (Utrecht), a powtórnie wespół z innemi pismami tegoż autora r. 1810 w Londynie.

Edycya pierwsza ukazała się, jak uczy tytuł przytoczony, pod przybraném nazwiskiem; a przecię dzieło przypisywano na razie powszechnie Józefowi Hallowi, mężowi uczonemu i bystremu myślicielowi, którego współcześni zwali także biskupem Hallem albo chrześciańskim Seneką. Naprowadziły zaś słusznie na osobę Józefa Halla słowa, które pierwszy nakładca William Knight w przemowie do dzieła wydanéj (bez roku i miejsca druku) o jego autorze powiedział. Czytamy tam: „Ułożył dzieło niniejsze członek uniwersytetu dla własnéj zabawy; lecz zostawszy późniéj teologiem, puścił je w niepamięć. Otóż szczegóły te przypadały całkowicie do życia Józefa Halla. Urodzony bowiem r. 1574 w hrabstwie Leicester, przykładał się w Cambridge do teologii i miewał tamże późniéj przez dwa lata odczyty o retoryce. Następnie był z kolei nauczycielem w Tivertonie, rektorem w Halstadzie, a nieco późniéj kapłanem parafialnym w Walthamie i kapelanem króla Jakóba I. Piastując to dostojeństwo był reprezentantem protestanckiego duchowieństwa Szkocyi na synodzie w Dordrracum (Dortrecht). Poczém wyniesiony na biskupstwo w Exeterze, przeniósł się w r. 1641 na biskupstwo Norwich. Kiedy po wystąpieniu z parlamentu razem z innymi biskupami założył protestacyę przeciw ważności praw uchwalonych i przyjętych przez tenże, przypłacił śmiałość kilkoletniém więzieniem w Towrze. Wypuszczony wreszcie na wolność, osiadł w Highamie i tam życia dokonał r. 1656.

Nie od rzeczy może będzie tu przytoczyć kilka słów z listów Halla, aby się dowiedzieć, z jakim bolem serca mąż ten patrzał na spory ówczesne szarpiące kościół protestancki, spory, w których sam przecię udział mieć był zniewolony; a wykażą one zarazem zacny sposób myślenia autora fantastycznéj podróży. W listach swoich bowiem (przetłómaczonych na język francuzki

Dokończenie w dodatku.

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 33-go.

przez Jacquemonta), radził on gorąco i często rozpierającym się z sobą stronom, aby wciąż dwóch cnot przestrzegały: umiarkowania i miłości. „Prawda, powiada on, cnoty te powinny „być nierozłącznemi przymiotami nauczycieli „chrześciańśtwa; ale niestety! jak rzadko one ich „zdobią! Gdyby, dodaje, dwie te cnoty posia-„dali, spory nie szkodziłyby ani nam, ani kościo-„łowi; na nieszczęście jednak samolubstwo potęż-„niejsze od cnot obu ma nas w mocy swojéj. Sa-„molubstwo zrywając szranki i groble, niezgodzie „drogę toruje". A w innem miejscu powiada: „Ludzie przywiązują wartość do pewnych zdań, „dla tego, że ich są zdaniami; lecz zdaniom tym „prawda ma być służebnicą, nie panią. Chcą, „aby to, co sami uznali za prawdę, za taką ucho-„dziło powszechnie. Chodzi im więc o zwycięz-„two, nie o uspakajające przeświadczenie; autor „rzeczy ma odnieść zwycięztwo, nie rzecz sama. „Rzadko znajdziesz ludzi, którzy równie dobrze „ustępować, jak zbijać i rozprawiać umieją".

Hall oprócz dzieła, o którém mówić mamy, napisał jeszcze w łacińskim języku *Virgidemiarum libri*, t. j. księgi rózgobrania; (wyraz przez niego urobiony podług analogii łac. *vindemia*, winobranie). Pismo to jest satyrycznéj treści, podobnie jak i podróż jego fantastyczna.

Sam zaś opis podróży zmyślonéj godnie stanąć może obok arcydzieła Jonatana Swifta „Podróże Gulliwera", a przewyższa inne, podobne głębokością myśli a prostotą i szczerotą opowiadania, np. Mikołaja Klimmsa von Holberg, Duńczyka, podróż podziemną, romans satyryczno-humorystyczny, także w łacińskim języku (w wieku 17-ym) napisany. To też sąd, świadczący chwalebnie o bystrości i dowcipie autora podróży, lecz nie szczególnie o głębokim rozumie autora sądu, wydał jakiś irlandzki biskup, który wkrótce po ukazaniu się książki wyrzekł podobno, że z przyjemnością podróży opis czytał, lecz znalazł w nim kilka takich szczegółów, że niepodobna co do słowa wierzyć podróżnikowi.

Podróżnik ten opuszcza więc ojczyznę na feluce Fantazya, aby światowi się przyjrzeć, i zwiedza kolejno cztery wielkie kraje i ich prowincye rozliczne, określając zaraz z góry dostatecznie nazwiskiem właściwości każdego kraju i jego części. Najprzód przybywa do *Krapulii* (t. j. do Upity, z łac. *crapula*) i objeżdża dwie prowincye jéj: *Pamfagonię* (t. j. Żarłocyę wszystkożerną, z greck. para fagejn) i *Iwronię* (Opilcyę, ivrogne). Niedługo bawi w mieście stołeczném kraju *Artokreopolis* (Pasztetówgród, z greck. artocreas i polis); zamieszkują je bowiem sami żarłocy: oberżyści, kucharze, piekarze i senatorowie. Oczywiście przez senatorów rozumieć należy *coenatores*, biesiadników. Tak już, że wspomnimy o tém na nawiasowo, dowcipny mistrz w sztuce kucharskiéj Montmaure zwykł był wymieniać pomiędzy pierwszemi i głównemi przyczynami wielkości Rzymu względy mądre, które miano na kuchnię. Już Romulus według niego, zakładając państwo mianował *cent cénateurs*, a po wypędzeniu królów dano *les lois des douze tables*. Pomimo krótkiego pobytu w Krapulii, ma jednak podróżnik dosyć czasu do poznania panujących tam obyczajów i zwyczajów. Przekonał się bowiem, że dostojeństwa wyższe lub niższe rozdawają się stosownie do objętości brzuszka senatorów, i że każdą naradę poważną poprzedza uczta, co najmniéj sześciogodzinna. Widział także, że w szkołach uczą młodzież jeść i pić, a czytają z nią i objaśniają praktycznie dzieło Apicyusa *de obsoniis et condimentis* (o leguminach i zaprawach korzennych). Zgorszył się wreszcie widokiem bufetów zastępujących miejsce bibliotek i herbem czyli godłem rządzącego władcy: *digere et impera!* (trawić i rozkazywać!) Chorując na niestrawność żołądka i na ból głowy, wydobył się podróżnik z tego kraju, ale dostał się z deszczu pod rynnę, bo przybył do kraju *Viraginea* (t. j. do kraju męzkich dziewic), podzielonego na kilka wielkich prowincyj: *Linguadocyę* (t. j. języczną), *Ryzyę* (t. j. śmieszek), *Ryksacyę* (t. j. kłótnic), i *Amazonię*. W stolicy kraju tego *Ginekopolis* (t. j. Babigród), przedstawiającéj widok rzeczypospolitéj, wszystko chce rządzić, nikt nie chce być rządzonym. To też podróżnik nasz, będąc w publiczném zgromadzeniu, w którém wszystkie sprawy załatwiają się, słyszał, jak wszyscy uczestnicy razem mówią, a żaden nie słucha; i dowiedział się, że dawniéj obierano tam naczelne władze stosownie do piękności i wymowności kandydatki. Atoli ponieważ każda kobieta za najpiękniejszą i najwymowniejszą siebie uważając, siebie też tylko godną dostojeństwa wakującego być sądziła i wybierając siebie na urząd forytowała, przeto od niedawnego czasu zapadła uchwała, aby prawo elekcyi przysługiwało tym tylko, któreby ani za piękne, ani za wymowne się nie poczytywały. I cóż się stało? Od téj chwili żadna kobieta nie chciała być wyborczynią. W prowincyi Amazonii widział mężczyzn w najhaniebniejszém, niewolniczém położeniu. Niewiasty nosiły się tam po męzku, a mężczyźni przędli. A kiedy pewnego razu mężowie sprzysięgli się na ohydną niewolę swoją i zamierzyli się oswobodzić z jarzma, spisek ich wydał na nieszczęście jeden z mężów, ratując się zdradą tą od cięgi, którą miał wziąć właśnie od żony. Odtąd też nawet i cień wolności mężczyznom się nie został.

Wielki, pusty, lecz oraz ludny bardzo był kraj trzeci, do którego się dostał następnie podróżnik. Był to kraj błaznów, *Moronia*. Długo w nim bawił i ciekawością wiedziony przebiegł wszystkie jego prowincye, chcąc dokładnie zbadać charakter i obyczaje mieszkańców; jakkolwiek nieraz narażał się na nieprzyjemności z powodu nieświadomości stosunków. Poznał więc, że Morończycy wielką wartość przywiązując do wysokich, szumnych tytułów, lubili być podziwiani; że im we wszystkiém potakiwać należało, bo znieść oporu i przeciwieństwa nie zdołali. Przekonał się, że Morończyk nigdy sam nie chodził; a jeżeli okoliczności złożyły się tak niefortunnie, że był bez towarzysza, wtenczas samotność osładzał sobie rozmową z sobą samym. Widział daléj, że i oni podlegali żonom; lecz nie słyszał biadających na to, jak mężczyzn w Viraginei. Owszem, poczytywali to za szczęście z tego powodu, że ich panowanie bardzo trudziło i nudziło.

W prowincyi kraju tego, zwanéj *Moronia mobilis* (ruchliwa), widział wszystko w nieustannym ruchu, w ciągłéj przemianie. Prawa tam tylko na rok jeden się dawały. Zwiedził tam akademię *Dudozę*, w któréj każdy nauczyciel własnym swoim jest uczniem, tak że właściwie nie ma tam ani nauczycieli, ani uczniów. Ale co ważniejsza, w akademii téj odbywają się dwa tylko kollegia. Na jedno z nich uczęszczają sami nowatorowie, wytężający siły dowcipów swoich na wynalezienie form nowych. Wszystkie wynalazki jednak cenią się tylko stosownie do nowości, nie w miarę pożytku, jakiby z nich mieć można. Z tém wszystkiém członkowie tego kollegium wielkie mają zachowanie u dworzan. Drugie zaś kollegium składa się z nauczycieli-uczniów, co niczego, nawet i samego kollegium nie chcą. W innéj prowincyi Moronii, zwanéj *Moronia aspera* (szorstka) uderzył go na samym wstępie brak zupełny społeczeńskiego pożycia pomiędzy mieszkańcami. Zatapiają się tam wszyscy w głębokich marzeniach, myślą o niebieskich migdałach, bo widzą i wyobrażają sobie w owych marzeniach takie rzeczy, jakich nie ma i nigdy też nie będzie. W innéj znów prowincyi *Orgilia* (Gniewków) ludzie żyją w nieustannéj zwadzie. Tam prawo nie ma żadnego znaczenia; gwałt, przemoc wszystko znaczy. Nie widział tu podróżnik nikogo, coby nie był pokiereszowanym; i nie uchodził nikt za dorodnego, gdy nie miał twarzy pokiereszowanéj i rozoranéj blizn bróżdami. Człowieka podeszłego w lata tam nie widział; nieznane wcale to zjawisko. Środkową prowincyę całéj Moronii stanowi *Moronia fatua* (błazgońska). Jest tam powiat, w którym ludzie uważają się za nader mądrych i myślą wszystko przeniknąć rozumem. Wszyscy oni jednoocy, bo zdaniem ich drugie oko byłoby na przeszkodzie bystremu widzeniu rzeczy. Wielu zaś z nich chodzi nago, aby czasu na ubieranie się nie marnować; inni znów budują domy bez ścian — dla świeżego po wietrza.

W mieście stołeczném *Pazzivilla* jednak nie dla tego wyłamano 16 bram, jeno aby koło wchodowe powiększyć. Oprócz wzmiankowanych jeszcze trzy prowincye ma kraj ten przestronny: *Doksyę*, w któréj największa panuje rozmaitość, niezgoda zdań i mniemań (od greck. dokeo, mniemać, sądzić), Moronię szczęśliwą i dewocką. W szczęśliwéj Moronii (*M. felix*) wszyscy mieszkańcy są szlachcicami, co zwykle życie wiodą mizerne; ale co rok wydają ucztę wspaniałą i wielce kosztowną, dla któréj przez cały rok głodu przymierają. Chodzą w pożyczonych sukniach; za to otaczają się zawsze bezlikiem lokajów i puszą łokciowemi nazwiskami i tytułami. Tu na wysokiéj górze z chemicznego złota złożonéj, sterczy zamek kryształowy, mieszkanie i pobyt bogini szczęścia, któréj wszyscy mieszkańcy głęboki hołd i pokłon oddawać zwykli. To też koło zamku bywa zawsze wielki natłok i ścisk ludu. Na granicach Moronii leży prowincya zwana Moronią bigocką czyli dewocką (*M. pia*). Ziemię tę znalazł podróżnik bardzo zaniedbaną, bo też ludzie mało tam mają czasu do zajmowania się sprawami ziemskiemi. Bogów tu tylu, ilu ludzi, i to z najrozmaitszego materyału; a liczba bogów rośnie z dnia na dzień.

Ostatni kraj, do którego podróżnik nasz zawitał, zowie się *Lavernia* (Szalbierya, od bogini *Laverna*, opiekunki zysku nieuczciwego i złego, oszustwa i złodziejstwa). Kraj to niezyżny, którego mieszkańcy jednak opływają we wszelkiego rodzaju dostatki. W prowincyi *Larcinia* (Łupia, z greck. laros), wojna wewnętrzna toczy się bez przestanku, a żywią i podsycają ciągle ją mieszkańcy sąsiedniéj *Fenacyi* (Lichwiarnia).

Na granicach prowincyi téj w rozkosznéj dolinie *Bugietta* podziwiał podróżnik piękne i wspaniałe wille, a mieszkali w nich redaktorowie gazet, jako też astrologowie, którzy wespół z poetami i prawnikami wielkie mają poważanie i zachowanie u Fenaków. Lud to zresztą bardzo cywilizowany, załatwiający interesa swoje nocną porą. Adwokatów mają Fenakowie niezmierną liczbę i bezlik wciąż processów się toczy; skut-

kiem czego całe prowincye dostają się w ręce jurystów. Odzienie Fenaków dwukolorowe. Wszyscy chorują na *Argentarchina* (słabość do srebra, srebrolubstwo), a skóra ich posiada osobliwą siłę przyciągania i zatrzymywania srebra. Ponieważ żyją z szalbierstwa i oszustwa, przeto codzień zmieniają układ twarzy, głos i odzienie, żeby ich nikt nie poznał. W szkołach uczą tu sztuk Hermesowych, a historya czynów bożka tego zastępuje mieszkańcom Biblię. To też sztuki Hermesowe bardzo zręcznie i biegle wykonywają Fenakowie, mianowicie oberżyści. Podróżnik nasz przekonał się, że ktoby chciał bezpiecznie schować pieniądze, powinien, jak żydzi za czasów oblężenia Jerozolimy, ukryć je chyba we wnętrzu swojém (*). Na ostatnim krańcu Lavernii leżą prowincye: *Plagiana*, ojczyzna rabunku literackiego, gdzie ujrzał podróżnik mnóztwo starożytnych pomników nadanych nowém nazwiskiem, i *Coditia* (zdaje się, kraj skór baranich, z grec. Kodion), gdzie ludzie nigdy oczu nie wznoszą w niebo i krząkają jak wieprze. Jedyny bóg, którego wielbią, jest *Chrysios* (cielec złoty) i nigdy spać się nie kładą, nie pomodliwszy i nie pokłoniwszy mu się wpierw pokornie.

Z. Węclewski.

(*) Patrz Józefa Flaviusa historyi żydowskiéj ks. V, rozdz. 13, 4 i następ., gdzie opowiada, że gdy się rzecz przypadkiem wydała, Arabowie i Syryjczycy w jednéj nocy około 2,000 żydów rozpruli.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

POSIEDZENIE TOWARZYSTWA GEOGRAFICZNEGO W BERLINIE.

Na jednem z ostatnich posiedzeń (3 lutego) Towarzystwa geograficznego w Berlinie mówił Dr. Stamm „o urzeczywistniającém się w dziejach prawie umniejszania języków". — Z posuwającym się naprzód historycznym rozwojem ludzkości idzie ręka w rękę umniejszanie się liczby języków i narzeczy. Mówca porównywał pod tym względem liczbę języków w Azyi Mniejszéj za czasów Mitrydata z dzisiejszemi językami Italii, Gallii i Hiszpanii, przed, za i po panowaniu Rzymian, tudzież Anglii, Szkocyi i Irlandyi, Niemiec i Austryi. Pośród współczesnych nam języków ludów ucywilizowanych, *angielskim* na kuli ziemskiéj mówi około 90 milionów ludzi; *niemieckim* przeszło 70; *hiszpańskim* 55, *francuzkim* tylko 45 milionów. Ażeby nie rozszerzać się zbytecznie, mówca inne języki cywilizowanych społeczeństw z porównania wypuścił. Z przywiedzionych wyżéj, język angielski z powodu ciągłego rozszerzania się ma, zdaniem jego, największą przyszłość; francuzki najmniejszą, gdyż zastał się, i wreszcie dla innych części ziemi, jako język mówiony, jest prawie bez znaczenia. Języki: niemiecki i hiszpański prawdopodobnie w przyszłém już stuleciu iść będą na drugiéj półkuli o lepszą co do swego rozprzestrzenienia: tu oczywiście mówca ma na myśli przyszłą kolonizacyę innych części świata przez Niemców, do czego ma posłużyć wzrastająca obecnie narodowa marynarka, przez co naturalnie nastąpi na rzecz niemczyzny umniejszenie wpływu języka hiszpańskiego, którym dziś mówi połowa ukształconéj (?) ludności Ameryki. Mówca w tém miejscu rozwodzi się nad tém, jak to przesilenie dla ludzkości się stało, że język niemiecki górny (hoch deutsch) wyrugował z ziemi *niemieckiéj* dawne a pozbawione zarodów życia języki Wendów, Kaszubów, i t. p., i że to rugowanie pomyślnie prowadzi się daléj... Ale najszybsze i najznaczniejszę zmniejszanie się języków przedstawia Ameryka; gdyż oto w naszych oczach nawet wyginęło wiele indyjskich języków i narzeczy. Ten odwrotny stosunek massy cywilizacyi do massy języków jest, według Dr. Stamma, prawem historycznem i takiém, które najskuteczniéj chociaż z wolna przyczynić się może do zjednoczenia i zbratania ludzi między sobą.

Do tego pięknego i pouczającego wywodu o dziejowém i społecznem prawie językowem, autor poskąpił jednego małego kommentarza społecznego: oto zapomniał powiedzieć co się stało z ludźmi, którzy zmuszeni byli na rzecz obcego języka zrezygnować z języków własnych. *Zjednoczenie* jest to pięknobrzmiący wyraz,—historya jednak nie zapomniała w jaki sposób wprowadzało się to zjednoczenie i braterstwo wywołujące przemianę języków, tak dobrze po obu stronach międzymorza Panamskiego, jak nad Wezerą i Elbą. To zjednoczenie, którego wyrazem język powstały na miejscu języków dawnych, jest faktem, ani słowa, a każdy fakt stał się na mocy pewnego prawa, rzecz niezaprzeczona. Jest to zastosowanie i jedno z urzeczywistnień Darwinowskiego prawa, walki o byt, tryumfu siły, które jawi się równie w wykształcaniu gatunków jak w rozszerzaniu języków. Lecz, jeżeli głosimy się wyłącznymi tylko prawa tego hołdownikami, jeżeli rezultat tylko jest dla nas wyłączną i jedyną powagą, przed którą padamy na kolana; — przestańmy na wzór augurów rzymskich uśmiechać się do siebie nad ołtarzem moralności, zrzućmy maskę hipokryzyi, którą tak niezręcznie na twarzy naszéj przytrzymują nitki sofizmatów, i jawnie oddajmy się pod wyłączny kierunek i sąd praw fizycznych. Wtedy radości nasze z powodu rozszerzania się gdzieś jednego języka na miejscu innych narzeczy będą usprawiedliwione, bez względu na te lub inne środki, jakie ku temu celowi użyte były; wtedy nie będziemy mieli potrzeby taksować wartości zwalisk, na których stanęły budowy nowe; wtedy gorąca wiara Omarów, równie jak zimny racyonalizm Machiawelów będą dla nas faktami równie obojętnego poglądu i rozbioru jak wylew strumieni wiosennych lub law wulkanicznych: fakta natury i nic więcéj.

O POKARMACH WEDŁUG ODCZYTU VIRCHOWA.

Zdobycie i przysposobienie pokarmu stanowi podstawę czynności człowieka i społeczeństw i nadaje im właściwe piętno. Odnosi się to w mniejszym nawet stopniu do pojedyńczego człowieka: urodzenie, pomyślne okoliczności w życiu uwalniają nie jednego od troski o chleb powszedni. Społeczeństwo żadne w tak pomyślnych warunkach się nieznajduje; jeżeli nawet natura hojnie obdarzyła je rozlicznemi płodami potrzebnemi dla życia, to zdobycie tych płodów jest nie łatwe, a przysposobienie ich zwykle z wielkiemi trudnościami połączone; te mozoły i trudności rosną z rozmnożeniem się narodu, z wzrostem jego oświaty. W pierwotnych peryodach życia narodu rodzaj pokarmu i sposób zdobycia tegoż stanowi wyłącznie niemal o charakterze narodu: mówimy naród pasterski, myśliwski, rolniczy, handlowy i t. d. Następnie znaczenie pokarmu w życiu narodu zaciera się nieco, ale kto głębiéj w rzeczy spogląda, przekona się łatwo, że pokarm ostatecznie jest źródłem najbardziéj zatrważających kwestyi socyalnych, że on to jest tym ogniem wiecznie tlejącym wśród społeczeństwa *ogniem* który od czasu do czasu sprowadza groźne wybuchy.

Przy tak niezwykłéj ważności kwestya pokarmów przedstawia więcéj sposobności do badania niż może jakakolwiek inna. Każdy z nas codziennie na sobie i na wielu innych badać może, wpływ rozlicznych pokarmów—zdawałoby się, przy rozwoju zwłaszcza nauk przyrodzonych że rzecz całą dawno już wyczerpano, że dziś nie warto rozprawiać jedynie o znaczeniu tego lub owego pokarmu. Niestety, przekonanie takie jest najzupełniéj mylne; ani doświadczenie, ani nauka niedoszły do stanowczych w tym względzie wyników. Mniejsza, że istnieją spory co do znaczenia kawy lub cukru, których rozleglejsze użycie sięga niedawnych jeszcze czasów; alež chleb od tysiąców lat przez wszystkie narody używany, ma niezasługiwać na nazwę istotnego pokarmu; ależ mięso, pokarm, zdaje się, najbardziéj naturalny, ma zamiast życia — zgniliznę i śmierć wprowadzać do organizmu.

Chcąc wśród tylu niepewności, wśród tylu sprzecznych twierdzeń dojść do pewnych wniosków, trzeba przedewszystkiem jasno zrozumiéć, co właściwie pokarmem nazywać należy; wyraz ten brany bywał i bywa w rozmaitem znaczeniu, gdyż i sama istota odżywiania rozmaicie bywa pojmowaną. Mnóstwo ludzi wszystkie jadła i bardzo wiele napojów nazywa pokarmami dla téj wyłącznie przyczyny, że się te ciała je albo pije. Łatwo zrozumieć do jakich niedorzeczności pojęcie takie prowadzi. Co najmniéj ten mały dodatek zrobić tu wolno: pokarmem nazywamy te jadła i napoje, które przyjęte do organizmu, służą dla jego celów, są korzystne dla niego, a nie przechodzą przez organizm bez żadnego śladu. Ale i to określenie, na pożytku pokarmów oparte jest bardzo niedokładne; bardzo wiele ciał przyjmujemy dla wypełnienia ważnych celów w organizmie, z niewątpliwym skutkiem, a przecież nikt pokarmami nazwać ich nie zechce—mówimy tu o lekarstwach. Wszakże lekarstwa służą dla celów chwilowych niezwykłych, przypadkowych, a pokarmy służą potrzebom codziennym, twardym, z naturą organizmu związanym.—Trudniéj daleko niż lekarstwa odgraniczyć od pokarmów liczne substancye, między pokarmami a lekarstwami stojące, które przyjmuje się do organizmu jedynie dla przyjemności. W niemieckim języku substancye te noszą nazwę „Genussmittel" (Genuss—używanie, uciecha); wyraz ten nie określa dostatecznie téj grupy. Nazywać będziemy środki te przysmakami; czując całą niedokładność téj nazwy używamy jéj tylko w braku innéj odpowiedniejszéj, i dla tego spieszymy bliżéj to pojęcie określić. Ciała te wywierają przyjemne wrażenie na nasze zmysły, mianowicie na smak i powonienie, inne działają na systemat nerwowy, na jego ośrodki, albo tylko niektóre oddziały. Wiele takich przysmaków weszło już w codzienne użycie i stało się rzeczą tak niemal niezbędną jak istotne pokarmy, ale myli się, kto je rzeczywiście za pokarmy uważa: owszem raczejby je zaliczyć należało do lekarstw, gdyż popęd do ich używania wypływa z niezwykłych stanów organizmu, jakkolwiekby te stany niezwykłe były zakorzenione i rozpowszechnione. Wreszcie o przysmakach, o ich

różnicy od pokarmów będzie jeszcze mowa w następstwie.

Określiwszy w ten sposób znaczenie pokarmów, odgraniczywszy od materyj, z któremi by je można łatwo związać było można, przejdziemy do opisu dalszych własności pokarmów. Pokarmy jak wiadomo, z ust i gardzieli, przez wązką i długą rurę, zwaną przełykiem wchodzą do żołądka, a następnie przez długi i pokręcony kanał kiszkowy na zewnątrz wydalone zostają; cały ten przewód pokarmowy nosi nazwę dróg pierwszych. Ażeby rzeczywiście służyć organizmowi nie mogą pokarmy pozostać w drogach pierwszych, znaczenie ich jest ogólne, muszą one po całém ciele być zaprowadzane, a to tylko uskutecznionem być może za pośrednictwem krwi krążącéj bezustannie i przez wszystkie cząsteczki ciała. Krew krąży w naczyniach, oddzielona błoną od przewodu pokarmowego; pokarm do niéj dostać się może tylko przez wessanie, a więc w stanie płynnym.

Niektóre pokarmy przyjmują się już w stanie płynnym, zdolnem do wessania bez żadnych zmian dalszych, jak cukier i jego roztwory, rosół, soki owocowe. Pokarmy takie stanowią tylko znaczną mniejszość, bez porównania więcéj pokarmów przyjmuje się w stanie stałym i te tylko wtedy wessane być mogą, jeżeli w przewodzie pokarmowym na ciekłe się zamienią. Do tego to celu służą soki pokarmowe, wyrabiane przez właściwe gruczoły; wymienimy ważniejsze: w jamie ustnéj gruczoły ślinowe czyli śliniaki wyrabiają ślinę; w żołądku gruczołki trawieńcowe wydzielają sok żołądkowy, w kiszkach prócz wielu drobnych gruczołków, ślinianka brzuszna (trzustczka) wydziela ślinę brzuszną. Działanie tych soków jest podwójne: za pomocą processów chemicznych zmieniają one skład przyjętych pokarmów, czynią je rozpuszczalnemi i w takim stanie rozpuszczając następnie. Ślina wpływa na pokarmy mączkowe (zboża, kartofle, ryż etc.) i gummy—zamienia je w cukier rozpuszczalny, przemiana zaczyna się już w ustach, w czasie żucia pokarmów, będzie tém dokładniejszą im bardziéj rozdrobnionym był pokarm, im więc rozleglejszém będzie zetknięcie się jego ze śliną. Sok żołądkowy zmienia ciała białkowe (mięso, jajka etc.) na rozpuszczalne, na t. z. peptony; rzecz prosta, że i tu przemiana będzie tém zupełniejsza im drobniejsze cząstki pokarmu wprowadzono do żołądka. Ślina brzuszna ma działanie bardziéj rozliczne, wpływa na różne rodzaje pokarmów. Cały ten process przemian chemicznych i rozpuszczania pokarmów w przewodzie pokarmowym pod wpływem jego soków nazywa się *trawieniem*; ciała zdolne do tych przemian nazywają się strawnemi w ścisłém, naukowém znaczeniu tego wyrazu, wszystkie inne ciała są niestrawne. W zwykłych pokarmach części strawne są zwykle pomieszane z większą albo mniejszą ilością cząstek zupełnie niestrawnych, które bez zmiany przechodzą przewód pokarmowy, nie dostając się do krwi.

I tak prawie każdy pokarm roślinny zawiera błonki komórek roślinnych, złożone z t. z. błonnika, czyli drzewnika; jest to tożsamo ciało, które w większéj ilości, w bardziéj zbitéj postaci tworzy drzewo; jakkolwiek drzewnik w zwykłych pokarmach roślinnych znajduje się tylko w postaci delikatnych blaszek, pomimo to wcale albo w bardzo nieznacznéj tylko ilości rozpuszczonym i strawionym zostaje. Toż samo ma miejsce i w pokarmach zwierzęcych, mięso mianowicie zawiera wiele cząstek ścięgnistych (żylastych i elastycznych, niestrawnych zupełnie.) (*d. c. n.*)

BIBLIOGRAFIA.

Meteorologia przez Apollinarego Pietkiewicza. W Krakowie, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1872.

Poważne traktaty naukowe, poświęcone gałęziom wiedzy, przypadającym po za obręb medycyny lub prawa, należą do niezbyt pospolitych w piśmiennictwie naszem zjawisk; dla tego też dzieło p. Pietkiewicza z żywem zajęciem przyjęte zostało przez wszystkich, których los nauki w kraju naszym obchodzi. Jest to obszerny wykład meterologii, prowadzony w sposób ścisły, odpowiadający zatem co do ogólnego charakteru swego podręcznikom uniwersyteckim, ułożony zaś jest głównie na podstawie Kämtza z częściowem korzystaniem też z dzieła Schmidta. Nie możemy w tem miejscu wchodzić w szczegółowy rozbiór téj książki: istotnie ciekawym byłby on tylko dla specyalisty i nie mógłby zająć ogółu czytelników naszego pisma. Rzecz swą wyczerpuje autor w kilku rozdziałach, mówiących kolejno o atmosferze, wiatrach, hydrometeorach (zjawiskach powstających z istnienia pary wodnéj w powietrzu), o temperaturze, o ciśnieniu atmosfery, o zjawiskach optycznych w powietrzu; poczem następuje rozdział niejako dodatkowy: „Księżyc i inne ciała niebieskie w stosunku do pogody, oraz znaki pogody z życia roślin i zwierząt.“ Przedmiotem swoim autor włada należycie, jest jasny i zrozumiały; staje się jednak nieco chwiejnym, gdy się styka z niektóremi kwestyami, więcéj podchodzącemi w zakres fizyki właściwéj. Najważniejszy atoli zarzut, jaki tu autorowi zrobić możemy, jest, że dzieło jego nie zawiera nic ze zdobyczy, jakie nauka w ciągu ostatniego lat dziesiątka dokonała; wszystko każe nam przypuszczać, że „Meteorologia“ dawno już była napisana i obecnie bez zmiany do druku podana. A zdobycze te nowe wcale nie małe; w naszem dopiero czasie meteorologia przestaje być niejaką częścią fizyki, a występuje samodzielnie, i idąc własnemi drogami i własną metodą, dąży do najwyższego celu swego, do wykształcenia się w istotną naukę o ruchach powietrza, w dynamikę atmosfery. Wzniosłe to zadanie téj nauki autor dobrze rozumie i wskazuje je we wstępie; jednakowoż nie znajdujemy bliższego téj myśli rozwinięcia, nie możemy bowiem za to uważać pobieżnéj wzmianki na str. 476 o obserwacyach współczesnych, które tak wielki rozwój w ostatnich czasach zyskały i do wielu już ważnych powiodły rezultatów. A zresztą ileż to zdobyczy w szczegółowych ustępach nauki, — że wspomnimy tu tylko o badaniach Tyndalla dotyczących barwy błękitnéj nieba, o zastosowaniu analizy spektralnéj do badania błyskawic, kilka ciekawych prac tyczących się gradu i t. d. Co do słońca, autor z daje się być jeszcze zwolennikiem teoryi ciemnego jądra, która dzięki wielu olbrzymim pracom współczesnym na szczęście została już z nauki stanowczo wyrugowaną. Nauka w czasach naszych dziwnie się chyżo posuwa; znakomite dzieła po latach kilkunastu, kilku nawet, przechodzą do historyi; tem ci gorzéj, gdy dzieło świeżo wyszłe już na przedawnienie choruje. Bądź co bądź, usterki te są w każdym razie drugorzędne, i „Meteorologia“ może być polecona każdemu, ktoby zechciał gruntowniéj się zapoznać z własnościami i ruchami wielkiego oceanu powietrznego, w którym żyjemy, i którego zjawiska i przypadłości tak przeważny wpływ na wiele naczelnych okoliczności życia naszego wywierają. Wprawdzie przestraszyć mogą czytelnika dosyć długie rachunki w niektórych miejscach, całki i różniczki dla wielu zapewne wydadzą się hieroglifami, — ale ustępy te po prostu można opuścić. Rachunki te bowiem nie są organicznie z całością spojone, a zajmują stanowisko czysto dodatkowe, jak np. rachunki służące do ocenienia różnicy wzniesień dwóch miejsc za pomocą spostrzeżeń barometrycznych, i t. p. Meteorologia nie stoi na tak wzniosłym stopniu rozwoju, aby swe prawa mogła wysnuwać z ogólnych zasad drogą matematycznego wywodu, jak to widzimy w astronomii lub optyce, dla tego też przedział między wykładem ścisłym a dostępnym nie jest tak stanowczy, jak w powyższych naukach; jakeśmy przeto powiedzieli, meteorologia może być łatwo zrozumianą przez ludzi posiadających ogólne naukowe wykształcenie. Nakoniec p. Pietkiewiczowi należy się bezwarunkowa wdzięczność za podjęcie téj pracy, któréj wiele zapewne chwil poświęcić musiał, a któréj całą nagrodą jest świadomość spełnienia pożytecznéj pracy.

Ciała niebieskie, albo światy planetarne i gwiazdowe. Wykład popularny wielkich odkryć i teoryj najnowszéj astronomii. Przez O. M. Mitchell'a, tłomaczył z angielskiego Appolinary Pietkiewicz, z licznemi drzeworytami oraz dodatkami tłomacza. Warszawa 1872. W druk. J. Jaworskiego.

Współcześnie z dziełem powyższem obdarzył nas p. Pietkiewicz drugiem, na ten raz tłomaczonem i popularnem. Przyznać należy, że książka do tłomaczenia bardzo stosownie wybraną została. Wykład Mitchell'a zaleca się metodą, formą, dostępnością. Autor zaczyna od opisywania najprostszych zjawisk, od wschodu i zachodu słońca, księżyca i gwiazd, i idąc wślad za historycznym rozwojem téj nauki prowadzi ją przez genialne prace Kopernika, Gallileusza, Kepplera, Newtona, Laplace'a; doprowadza badanie systemu słonecznego do odkrycia Neptuna przez Leverrier'a, które jest istotnem uwieńczeniem zasady Kopernikowéj; stopniowo porusza coraz mozolniejsze i delikatniejsze kwestye astronomiczne, tak jednak, że umysł czytelnika bynajmniéj znużeniu ani znudzeniu nie ulega. Bardzo szczęśliwie usuniętem jest tu kreślenie wielu linij, kół, któremi wielu autorów popularnych astronomji ozdabia swój wykład, czyniąc go niedostępnym dla ogółu, gdy dla pracujących nad nauką ścisłą jest nieużytecznym. Język w ogóle jasny i czysty, wydanie staranne, silnie tę książkę zalecają. Zarzut, jaki zrobimy równie tyczy się braku nowych rzeczy; nie usprawiedliwia to wcale tłomacza, że za podstawę wziął wydanie z r. 1868, bo wśród dodatków jakie na końcu pomieścił, należało coś powiedzieć o kierunku prac współczesnéj astronomii. Wyraz „najnowszéj“ w tytule jest tu o wiele przesadzonym, a nawet niestosownym — bo niezawodnie pod tym wyrazem każdy rozumieć będzie tę gałęź astronomii, która się rozwinęła w upłynionym lat dziesiątku na podstawie analizy spektralnéj, a którą zaczyna się już obejmować nazwą astronomii fizycznéj, i dla któréj w kilku uniwersytetach, jak w Lipsku np., utworzono już oddzielne katedry. Na nieszczęście p. P. jak to widzimy z jego uwagi w Meteorologii, nie jest zwo-

lennikiem nowych teoryj o naturze i budowie ciał niebieskich, a czas już z niemi się pogodzić: Kirchoff, a za nim Secchi, Zöllner, Janssen, Huggins, Lockyer i tylu innych odcyfrowali wiele tajemnic jakie nam niebo przedstawia, a których rozwiązanie do niedawna za niemożliwe uważano. Nie tylko ruchy ciał niebieskich przedstawiają zajęcie dla umysłu człowieka, owszem z żywszem zaciekawieniem pytać się każdy będzie, czem jest słońce, gwiazda, kometa, a gdy nauka dzisiejsza na wiele z tych pytań odpowiedzieć już może, nie wolno dziełu popularnemu milczeniem je pomijać. Nie ma tu też wzmianki o pięknéj teoryi komet i gwiazd spadających Schiapparelli'ego, ani o pracach Tyndall'a dążących do wytłomaczenia ogona komet. Powtarzamy jednak, zarzuty tyczą się tylko tego, czego w téj książce brak; to, co jest, — przeprowadzone jest wybornie.

Arytmetyka i Algebra dla klas wyższych gimnazyalnych i realnych. Podług dzieła niemieckiego Dra. Franciszka Mocnika opracował Dr. Tomasz Stanecki we Lwowie, nakładem Karola Wilda 1872.

Do rzeczy, których zapewne i daleka nie zmieni potomność, należy wykład algebry elementarnéj. Tak tam nic ująć nie można, a tak mało jest do dodania, że różne dzieła początkowe algebry można uważać za nowe tylko wydania *„przejrzane przez autora“*. Każda zatem nowa algebra początkowa może mieć co najwyżéj pewną nieznaczną właściwość, która ją słabo cechuje wśród nawału dzieł temu przedmiotowi poświęconych; otóż właściwość ta w dziele p. Mocnika nie zupełnie jest godną uznania: o ile sprawozdawca tego uchwycić zdołał, polega ona na zbytniem rozszczególnianiu i na tworzeniu osobnych twierdzeń z drobnych szczegółów, które co najwyżéj mogą być uważane za ćwiczenia do odrobienia przez uczniów; dowodzi tego zaraz początek książki o dodawaniu; metoda taka, pod mniéj zdolnym zwłaszcza nauczycielem, łatwo naukę algebry na pamięciową zamienić może. Za zaletę zaś ważną uważamy graficzne przedstawianie twierdzeń, co i łatwiéj uczniowi uzmysławia naukę i nowy obszar pojęć umysłowi jego otwiera; również na uznanie zasługuje wykład początków rachunku prawdopodobieństwa, zamieszczony na końcu dzieła, zwłaszcza że napisany jest bardzo dobrze i obejmuje wiele wiadomości, które uczącemu się mogą być bardzo przydatne w różnych zawodach dalszego życia. Zbiorek zadań silnie grzeszy tém, że nie zawiera odpowiedzi, któreby dla uczącego się były wskazówką, czy zadanie dobrze przez niego zostało rozwiązanem. Język tłomacza, lubo w ogóle nie zły, nie stoi jednak na wysokości tego wyrobienia, jakie cechuje język matematyczny polski, i do jakiegośmy nawykli; nadto spotykamy się tu z kilku nowościami językowemi, niezupełnie szczęśliwemi, zwłaszcza gdzie mamy już dobrze utarte nazwy. Tak tłomacz mówi *ilość potęgowana przez a*, *logarytmowana przez b*, (t. j. logarytm danéj ilości przy podstawie b,). Z tych wyrażeń usprawiedliwia się jeszcze tłomacz w przedmowie, ale dla czego wyrażenie algebraiczne nazwał wyrazem, a wyraz *członem*; zależność, czyli związek kilku ilości jest tu względnością (od *relation?*); ilości dane do dodania dodajnikami, a iloraz wskazany naznaczonym. Kilka tych innowacyj zaszkodzić może rozpowszechnieniu się téj książki, przynajmniéj w Królestwie.

Chemia zastosowana do Rolnictwa i Fizyologii Justusa Liebiga. Podług ósmego wydania przełożona za upoważnieniem autora. Tom wstępny 1871. Tom I. zeszyt 1. 1872. Nakładem tłomacza; w drukarni Uniw. Jag.

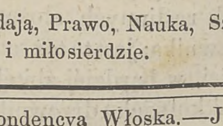
Tom wstępny zamiast chemia nosi w tytule „Wiedza zastosowana i t. d.“; z odmiany téj tłomacz się usprawiedliwia, zresztą stosowniejsza użyć wyrazu chemia, jak to jest w oryginale. Dzieło to wychodzić będzie zeszytami, stanowiącemi mniej więcéj oddzielną całość, i tak, że zeszyt następny ukazywać się będzie dopiero po pokryciu kosztów wydania zeszytu poprzedniego. Tłomacz dodaje wiele uwag, często silną polemiką zaprawionych. Aczkolwiek Liebig nie zajmuje w nauce tak książęcego stanowiska, jak przed kilkunastu laty, i przeciwko wielu szczegółom jego teoryj dosyć się ukazało zarzutów, dzieło to z istotną radością winno być powitane w naszym języku, gdzie literatura rolnicza poważnych prac liczy bardzo mało, a kilka nawet pism dobréj książki nie zastąpią. Dopiero, gdy podstawa nauki położoną będzie przez dobre książki, choćby tłomaczone, pisma rolnicze będą mogły wyjść z lekkich pogadanek i przejść w istotnie poważne organa rolnictwa krajowego. Tom wstępny obejmuje kilka rozprawek ogólnych o zastosowaniu nauki do rolnictwa, wyszła dotąd część tomu pierwszego zawiera rzecz o processie chemicznym żywienia się roślin, kwestyę podstawową rolnictwa. Nie wątpimy, że tłomacz zamierzone wydawnictwo do końca doprowadzić zdoła.

WIDZIADŁA.

Mało znany poemat Leonarda Sowińskiego żywemi obrazami (*) na dochód Przytuliska przedstawionemi w Wielkim Teatrze dnia 21 Kwietnia r. b. illustrowany, należy do psychologiczno-moralnych. Tu bowiem autor przedstawia, marzycielskiego usposobienia większéj części poetów, znamiona i niebezpieczeństwa. Marzyciel którego w pierwszym obrazie odpowiadającym pierwszemu z dwunastu sonetów widzimy pogardzającym dziecinną swobodą rówienników, w drugim natchniony duchem wiary, następnie ciężarem wiedzy przytłoczony w zwątpienia, ciężkiéj zadumie pogrążony, obudzeniem się dopiero ducha poetycznego właściwego młodym dojrzewającym wyższego polotu duszom wyrwanym zdaje się być na zawsze z niebezpieczeństwa, którem mu fałszywy kierunek lat dziecinnych groził. W dalszych więc strofach poetę swego autor przeprowadza przez fazę miłości kobiety, która jest poetycznego usposobienia najwierniejszem ziemskiem odbiciem, zły duch jednak postaciujący tu pewne skrzywienie charakteru w samym już jego zarodzie i to usposobienie pełnego zapału młodziana na złe obraca—gdy bowiem koło obowiązków społecznych (*) roztacza się nagle przedoczyma marzyciela, sława którą sobie na téj drodze obiecuje pychą się w nim staje i w ostatnim, też sonecie XII a ostatnim obrazie VI-m widzimy go dotkniętego nagle dłonią anioła śmierci zawcześnie — i zapóźno.

(*) Układu Wojciecha Gersona.

(*) które składają, Prawo, Nauka, Sztuki, Przemysł, Rolnictwo i miłosierdzie.



Pani Bronisławie B... W Atakach Wieczory Czwartkowe wysłaliśmy; należność wraz z przesyłką wynosi Rs. 1 kop. 47.

Panu Gr... w Turku. Bazar zaprenumerowaliśmy na poczcie, Rs. 3 na Gazetę Warsz. odesłaliśmy wprost do Redakcyi.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 8 (20) Апрѣля 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.